

Sankt Petersburg
„Okno na świat”
Piotra Wielkiego
STR. 13

Z miłości do starych pojazdów
Anna Osman opowiada
o Fundacji „Nowe życie”
STR. 16

Klan rybaków
O tradycji rodziny
Pietrzaków
STR. 18

Koszalińska „samochodówka”
Od ponad 60 lat
kształci fachowców
STR. 32

MAJ

MIASTO PLUS

Nr 4/2021 (78)

Wydanie bezpłatne • ISSN 2392-3385

www.miesto.koszalin.pl



PO PROSTU TAŃCZ!

POMORSKIE SKŁADY DREWNA



Drzwi i podłogi **VOX**

Pomorskie Składy Drewna oferują m.in.:

- Drewno konstrukcyjne C24
- Drewno KVH
- Drewno budowlane
- Boazerie
- Podbitki
- Taras modrzewiowy i sosnowy
- Płyty OSB, MFP, wiórowe, meblowe
- Sklejki liściaste i iglaste
- Sklejki szalunkowe
- Listwy drewniane
- Schody i stopnie schodowe
- Błaty klejone dąb, buk, sosna
- Podłogi drewniane
- Barlineckie deski podłogowe
- Panele podłogowe
- Drzwi wewnętrzne i zewnętrzne
- Impregnaty Koopmans
- Usługa cięcia i transportu

Koszalin, ul. Bohaterów Warszawy 5 • tel. 94 343 20 10

Godziny otwarcia: poniedziałek – piątek 8.00-16.00, sobota 8.00-14.00

OSIEDLE HOLENDERSKIE

Nowe mieszkania ul. Holenderska



Osiedle
Unii Europejskiej



LECHBUD KOSZALIN

Koszalin ul. Podgórna 8
www.lechbud.pl

94 342-62-77

663-746-451

lechbud-koszalin@wp.pl



BIURO TURYSTYCZNE
Sławomira Małgorzata Ignatowicz

**PRZEGANIAMY PANDEMIĘ
- PLANUJEMY URLOP!**

**Już w maju
możesz wypocząć w:**

- Egipcie – już od 1000zł
- Turcji – od 820zł
- Grecji – od 750zł
- Bułgarii – od 800zł ...

A może Polska?
Najbogatsza oferta
obiektów w całym kraju.

Wycieczki po Polsce:

- Łódź Fabryczna – od 670zł
- Kurpiowska Kraina – od 700zł
- Baśniowa Suwalszczyzna – od 760zł
- Wrocław i zamki
Dolnego Śląska – od 960zł ...

**Nie zamknie się
z dnia na dzień**

**Bogata
oferta
wypoczynku
dla dzieci
i młodzieży**

**U nas rozliczysz
bon 500+**

Od 4 maja biuro znów czynne w godz. 11.30-17.00. Reszta informacji w biurze.

NR ZEZWOLENIA Z-02/03/04



Firma należy do grupy:



75-014 Koszalin, ul. Gen. Wł. Andersa 2, tel./fax (94) 347 04 59, 342 45 11
e-mail: turysta.koszalin@interia.pl, www.turysta.koszalin.pl

MAJ W SERCACH

Maj. Kwitną kasztanowce, a maturzyści przeżywają swój pierwszy dorosły egzamin. Ten maj inny jest od innych. Kasztany nie zdążyły zakwitnąć, kiedy rozpoczęły się matury. Uczniowie zestresowani, bo przez długi czas uczyli się w domu. Czy to wystarczy? To się okaże.

Majowo nam w sercach, kiedy po raz kolejny otwierane są restauracje, hotele i teatry (choć na te ostatnie ciągle jeszcze czekamy). Mamy nadzieję, że dręcząca nas od ponad roku pandemia wreszcie pozwoli odetchnąć pełną piersią. Staraliśmy się, żeby pismo, które trzymają Państwo w rękach, nastroiło wszystkich majowo.

Ludzie z pasją – jak miło o nich poczytać. W numerze przedstawiamy sylwetki czworga tancerzy Teatru Muzycznego „Adria”. Łączy ich pasja, ale też sporo dzieli, bo na co dzień zajmują się zupełnie różnymi sprawami... Magdalena Wojtaszek odkrywa tancerzy z zupełnie innej strony.

Izabela Nowak tym razem zabiera nas do urokliwego Sankt Petersburga, a Robert Nawrocki – nieco dalej, bo po raz kolejny do Stanów Zjednoczonych. Tym razem przedstawi sylwetkę Polaka, którego zna niewiele. Korczak Ziółkowski urodził się w Bostonie, ale jego dziad trafił do Stanów z... Krakowa. Warto poznać tę historię.

Anna Osman o swojej pasji opowiedziała Tomaszowi Wojciechowskiemu. To dość oryginalne zestawienie – kobieta i traktor. Choć w czasach słusznie minionych popularne było hasło: „Kobiety na traktory!”, Anna Osman oswoiła tę wielką maszynę nie po to, żeby wyrobić jakąkolwiek normę. Ona po prostu się w starych traktorach zakochała.

Dana Jurszewicz poszła tym razem tropem... rybackim. A że tematy do opowieści czasem znajdują się same, z rozmowy na przystani z przy-

padkowym sprzedawcą przepysznych ryb zrodziła się historia. Tomasz Polak należy do czwartego pokolenia, które życie związało z morzem. Prowadzi wędzarnię, ale początkowo miał na swoje życie zupełnie inny plan. Cóż... czasem od przeszłości uciec nie można. Dumny byłby z rodziny nestor klanu Leon Pietrzak. Nawet dziś, w trudnych dla hołdowania tradycji czasach, udaje się jego potomkom utrzymać rybny biznes. Mają nawet swój rodzinny przysmak, po który przyjeżdżają amatorzy ryb z całego Pomorza.

Tradycję pielęgnują też mieszkańcy małej podkarlińskiej miejscowości. Udowadniają przy tym, jak dużą wartość ma związana ze sobą społeczność. Wszyscy pracują na to, żeby w Kowańcu żyło się dobrze. Niedawno, w czynie społecznym, rozpoczęli odnawianie starego cmentarza. Miejsce mogłoby zarosnąć roślinnością i pewnie za parę lat o jego przeszłości nikt by nie pamiętał, ale będzie inaczej, bo ci, którzy pamiętają, postanowili o tę pamięć zawalczyć.

Ponad 60 lat temu rozpoczęła działalność w Koszalinie szkoła prawdziwych mechaników. „Samochódówka” jest placówką, która wykształciła wielu mistrzów motoryzacyjnego fachu. Przypominamy jej historię.

Kulinarnie po raz kolejny rozpieści nasze podniebienia Magdalena Wojtaszek pod okiem szefa kuchni. Na talerzu będzie lekko i zdrowo, bo przecież ciepło, wiosna i nadzieja w sercu. I tego się trzymajmy, jak długo damy radę.

Miłej lektury!

Joanna Wyrzykowska
redaktorka naczelna



DZIAŁO SIĘ W KWIETNIU:



Okazało się, że Koszałka, który dotychczas kursował po Jamnie, zastąpi nowy statek. Dostał on regionalne imię – Julek, co nawiązywać ma do legendy o jamneńskich skrztach. Statek ma pomieścić 110 pasażerów i 7 rowerów. Co więcej, by nim popłynąć, będzie można skorzystać m.in. ze specjalnego biletu kasowanego już w autobusie.



Sokoły wędrowne wyraźnie polubiły Koszalin. Tym razem w ich rezydencji na kominie MEC-u wykluły się cztery pisklaki. Wszystkie są zdrowe i wyraźnie rozpiera je energia.



Teraz osoby z regionu, które chcą ochronić się przed skutkami zachorowania na COVID-19, będą miały łatwiej. W Koszalinie zorganizowano Punkt Szczepień Masowych. Mieści się on w Hali Widowiskowo-Sportowej. To ogólnodostępne miejsce zarówno dla zmotoryzowanych, jak i pieszych ze względu na duży parking i pobliski przystanek autobusowy.



Każdy akt okrucieństwa ścisza za serce, zwłaszcza jeśli jego ofiarą są organizacje wspierające potrzebujących – także zwierzęta. Fundacja „Miau, Kocie Wąsy i Spółka” padła ofiarą oszustwa. Długo oczekiwany remont jej siedziby nie odbędzie się prędko, ponieważ nieuczciwy budowlanec zniknął wraz z zaliczkami.



W tym roku kolejny raz Polacy spędzili święta w izolacji. Pojawienie się kolejnej dużej fali zachorowań wyraźnie wpłynęło na decyzje rządu i nastroje społeczne. Po raz kolejny pojawiły się drastyczne obostrzenia, które odczuli zarówno – tradycyjnie już – przedsiębiorcy, jak i nawet przedszkolaki.



Minął już rok, od kiedy z użytku został wyłączony most na alei Monte Cassino. W mieście zaczęły się tworzyć coraz większe korki, a duże samochody wyraźnie dają się we znaki mieszkańcom, nie przestrzegając przepisów i niszcząc wewnętrzne drogi. Poprawy sytuacji póki co nie widać, a na nowy most trzeba będzie jeszcze długo poczekać.

MIASTOPLUS

tel. 94 720 24 00, fax 94 720 24 19
redakcja@miasto.koszalin.pl

Redaktor naczelna:
Joanna Wyrzykowska

Redakcja: Radosław Czerwiński, Dana Jurszewicz, Ewa Marczak, Izabela Nowak, Robert Nawrocki, Magda Pater (foto), Mateusz Prus, Alicja Tułowska, Tomasz Wojciechowski, Magdalena Wojtaszek

Dział reklamy:

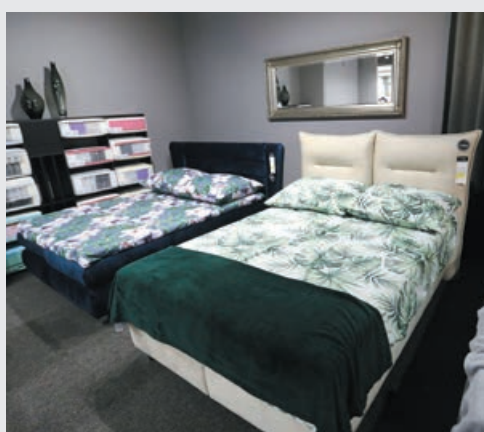
Ewa Langner, tel. 94 720 23 06, ewa@tkk.net.pl
Wioleta Saferska, tel. 94 720 24 10, wioleta.saferska@miasto.koszalin.pl
Agnieszka Szkapicz, tel. 94 720 24 11, agnieszka.szkapicz@miasto.koszalin.pl

Wydawca:

Telewizja Kablowa Koszalin Sp. z o.o.
ul. Kotarbińskiego 3,
75-352 Koszalin
tel. 94 720 23 00, fax 94 720 23 33

Grafik:

Piotr Witkowski



Galeria Emka • ul. Jana Pawła II 20

Czynne od godz. 10.00

Best Meble • Koszalin, ul. Poprzeczna 6

URZĘDNIK, PIELEŃNIARKA, STYLISTKA RZĘS I MANAGERKA W TAŃCU

Niesamowita energia, uśmiech od ucha do ucha i chęć rozwijania zainteresowań – tacy są tancerze Teatru Muzycznego „Adria”. Na co dzień każdy z nich pracuje w zupełnie innym miejscu. Paula Matyssek jest pielęgniarką, Klaudia Juszcak – event managerem, Kamila Chojnowska szkoli się w stylizacji rzęs, a Dawid Tokarczyk spełnia się jako urzędnik. Czasami zastanawiają się, czy doba nie jest dla nich za krótka. Każdy z nich znajduje również czas na inne pasje. W świetle reflektorów dają z siebie sto procent. Po ponad roku trwającej pandemii mają nadzieję, że już nie będą musieli schodzić ze sceny. Są gotowi na nowe wyzwania.

Tekst: Magdalena Wojtaszek

Zdjęcia: Izabela Rogowska, archiwum prywatne

Jak wyglądały wasze taneczne początki? Czy rodzice zaprowadzili was na zajęcia, czy może sami chcieliście rozwijać się w tym kierunku?

Paula: – Jak miałam pięć lat, zaczęłam tańczyć w Młodzieżowym Domu Kultury w Koszalinie. Mój dziadek tam pracował. Uczylałam się pod okiem pani Tatiany. Następnie przeszłam do Centrum Kultury 105 do Agi Bil, a później zaczęłam występować w profesjonalnych przedsięwzięciach. Był Teatr Variete Muza, a także przygoda z AZS-em, gdzie byłam cheerleaderką. Później zaczęła się przygoda z musicalami – „Showlesque”, „The Bodyguard” i wiele koncertów realizowanych w Teatrze Muzycznym „Adria”. Chyba spróbowałam już wszystkich stylów tańca. Od towarzyskiego po jazz, hip-hop, disco dance. Najbardziej jednak lubię taniec indywidualny w klimacie latino, ogólnie wszystkie typowo kobiece choreografie. Taniec w parze zdarzył mi się przy okazji koncertu „Razem przez świat” do piosenki „Roxanne”. Podobają mi się tam emocje, które trzeba było przekazać widzowi.

Kamila: – Zaczęłam tańczyć mając siedem lat. Do mojej szkoły przyjechała grupa Top Toys. Jak zobaczyłam ich występ, pomyślałam, że chcę tańczyć tak jak oni. Poprosiłam mamę, żeby zapisała mnie na zajęcia taneczne. Zaczęło się od hip-hopu i innych ulicznych stylów. Trwało to około ośmiu lat. W 2012 roku zapisałam się na zajęcia do Kacpra Wojcieszka, grupy Feel the Nois. Wtedy poznałam również Magdę. Nasze drogi jednak rozeszły się. W międzyczasie poszłam do Studia Tańca „Pasja”. Tam przez pewien czas uczylałam tańczyć dzieci i młodzież. Za pośrednictwem szkoły byłam też cheerleaderką. To było ciekawe doświadczenie, czekałam z niecierpliwością na każdy mecz. Później tańczyłam w Teatrze „Variete Muza”. W międzyczasie występowałam również na muzycznych festiwalach i w teledyskach. Aż przyszedł moment, w którym Kacper zaprosił mnie do współpracy przy spektaklu „Showlesque”, układałam tam

choreografię, a później także występowałam. Podczas castingów pomagałam wyłonić najlepszych tancerzy do tego przedsięwzięcia. A później już Teatr Muzyczny „Adria” i „The Bodyguard”.

Klaudia: – Moja przygoda z tańcem rozpoczęła się w gimnazjum. Koleżanka powiedziała mi, że jest nabór do grupy w Centrum Kultury 105 w Koszalinie, gdzie zajęcia prowadził Piotr Wiliński. Tam odnalazłam pasję i miłość do tańca. Jeździliśmy na różnego rodzaju zawody taneczne, m.in. słynny „Rytm ulicy” w Pile. Pierwsze style, z którymi miałam styczność, to hip-hop, funky i electro. W późniejszych latach mój trener poprowadził grupę cheerleaderek AZS Koszalin i tam również tańczyłam przez kilka sezonów. Uwielbiałam tę adrenalinę związaną z występami przed publicznością. Później trafiłam na zajęcia do szkoły Feel the Noise, prowadzonej przez Kacpra Wojcieszka, a następnie razem występowaliśmy z formacją PiAnKa Crew. Spełniłam swoje marzenie i występowałam również w teledyskach. Gdy dowiedziałam się o castingu do spektaklu „Showlesque”, natychmiast zaczęłam do niego przygotowania. Tak zaczęła się moja przygoda z pracą przy musicalach Kacpra i Magdy.

Dawid: – Moja przygoda z tańcem zaczęła się, o dziwo, nie w dzieciństwie, a raczej kiedy byłem już nastolatkiem. W liceum zapisałem się na kurs tańca towarzyskiego do Szkoły Tańca Astra Marleny Krawczyk i trwało to około pięciu lat. Tam pierwszy raz brałem udział w zawodach tanecznych. To dało mi takim impuls, żeby jednak gdzieś w tę stronę podążać. Skończyłem jedno studia i postanowiłem rozpocząć kolejne, taneczne. Rodzice i znajomi pytali: „Co ty znowu wymyśliłeś?”. Pierwsze zajęcia dały mi nieźle w kość i chciałem zrezygnować. To był balet, więc wymagało to bardzo dużo dyscypliny. Rosyjskie baletnice wykładały ten przedmiot, więc kładły nacisk na postawę i każde ułożenie dłoni i nóg. Jednak uparłem się i postanowiłem, że jak zacząłem, to już skończę. W międzyczasie



sie uczyłem się również tańca ludowego, współczesnego, towarzyskiego. Później prowadziłem zumbę, a następnie dostałem również propozycję pracy z dziećmi. Obecnie prowadzę swoje grupy taneczne w Centrum Kultury w Sianowie. Później skończyłem kolejne, podyplomowe studia taneczne w Poznaniu. Chodziło mi konkretnie o fitness, żeby mieć furtkę w przyszłości na prowadzenie tego rodzaju zajęć. Współpracę z Magdą i Kacprem rozpocząłem od musicalu „Grease”, później „Showlesque” i „The Bodyguard”. W międzyczasie również koncerty w Teatrze Muzycznym „Adria”. Mogłem nie tylko wystąpić, ale również przygotować choreografię.

Ostatnio dyrektorka Teatru Muzycznego „Adria” Magdalena Łoś-Wojcieszek napisała w mediach społecznościowych, że tęskni za tremą, wyjściem na scenę i momentem, w którym rozsuwa się kurtyna. Jak zawsze obserwuje was na scenie, to ja nie widzę tam żadnego stresu, tylko wiele pozytywnej energii. Bawicie się tym, co robicie...

Paula: – Na mnie trema działa bardzo motywująco, oczywiście, nieraz mnie zżera, ale ja bardzo lubię tańczyć. Jak wychodzę na scenę, to mam z tego zabawę i daję z siebie wszystko. Niestety, pandemia sprawiła, że tych występów było mniej i publiczności w teatrze też było mniej przez wprowadzone ograniczenia, ale już nie mogę się doczekać momentu, w którym wystąpimy dla pełnej sali. Podczas lockdownu nagrywałam różne taneczne filmy, brałam udział w warsztatach online z choreografami z Los Angeles. Staralam się zrekompensować sobie czas spędzony w domu.

Dawid: – Trema przed jest zawsze. Mija dopiero w połowie pierwszego układu. Kiedy tańczę, widzę maksymalnie trzy pierwsze rzędy ludzi (śmiej). Staram się skupić na tym, co mam robić. Jestem w tym miejscu, żeby dać ludziom rozrywkę. W końcu robimy to, co kochamy.

Klaudia: – Wydaje mi się, że albo nadajesz się do występowania na scenie, albo nie. Można się tego nauczyć, ale niewątpliwie trzeba mieć ku temu dryg. Mimo że zawsze jest trema, to nie brakuje nam uśmiechu na twarzy. Podczas premiery spektaklu „Showlesque” już w pierwszej minucie tańca spadł mi but. Trzeba to było ograć do końca bez niego. Udało się to ukryć, tańcząc na jednym obcasie praktycznie do końca sceny. Na pewno doświadczenie i opanowanie robi swoje. Chociaż każda premiera to ogromny stres, przy każdym kolejnym występie jest zawsze go ciut mniej.

Skoro już o emocjach mowa... musical to taniec, śpiew, ale również i gra aktorska. Wy, dziewczyny, miałyście okazję sprawdzić się w roli studentek, śpiewających na karaoke. Musiałyście wyjść ze swojej strefy komfortu, ale zostało to przyjęte bardzo pozytywnie...

Paula: – Teatr wyzwala w nas wiele emocji. Myślę, że tańcząc wiele lat, gdzieś tej gry aktorskiej poniekąd się nabywa. Tam również musimy opowiedzieć jakąś historię. A jeśli chodzi o rolę studentek, to było napisane w scenariuszu, że może być ta scena, ale nie musi. Już później śmiałyśmy się, że jest to nasza rola życia. Jednak na początku byłyśmy na nie, bo czułyśmy się niekomfortowo. Z czasem ograłyśmy to i nabrałyśmy dystansu.



Paula



Klaudia



Kamila



Dawid

Kamila: – Na początku byliśmy wręcz zażenowane, że musimy zaśpiewać przed publicznością. Trzeba było pokazać się z prześmiewczej strony. Nie chciałyśmy tego robić, aczkolwiek po premierze i oklaskach, jakie dostałyśmy, byłyśmy w szoku i teraz za każdym razem nie możemy doczekać się tej sceny. To jest takie bez troskie, zwariowane i nie ukrywam, że utożsamiamy się z tym epizodem. Przełamałyśmy się i teraz już mogę powiedzieć, że było warto.

Klaudia: – Myślę, że każdy z nas, tancerzy, chętnie sprawdziłby się również w roli aktorskiej. Mamy do tego predyspozycje, ponieważ w tańcu także ogromną rolę odgrywają przekaz i emocje. W roli studentek odnalazłyśmy się świetnie, ta scena została przez nas wykreowana. Osiągnęłyśmy zamierzony efekt, ponieważ widownia śmiała się i o to w tym chodziło. Falszować nie było trudno w naszym przypadku, ale starałyśmy się, żeby mimo wszystko to było znośne (śmiej). To doświadczenie dało mi więcej odwagi i pewności siebie.

Czy udaje wam się w teatrze przemycić coś swojego do choreografii?

Klaudia: – Kacper w teatrze jest zawsze otwarty na propozycje czy nasze sugestie. Oczywiście, on podejmuje ostateczne decyzje i wszystkiego dopilnowuje. Już kiedy poznałam Kacpra w Feel the Noise, zawsze był uśmiechnięty, pozytywny i wspierał całą grupę. Myślę, że śmiało mogę powiedzieć, że zaprzyjaźniliśmy się w tamtym czasie. Bardzo się cieszę, że mogę z nim nadal współpracować.

Paula: – Wszystko zależy od układu tanecznego. Mamy narzuconą choreografię z góry, ale Kacper przyjmuje nasze sugestie i jest na to otwarty. Często są zmiany, niekiedy pod nas. Każdy z nas czuje się dobrze w konkretnym stylu i tę odmienność widać podczas spektaklu. Kroki są takie same, ale każdy wyraża je zupełnie inaczej.

Dawid: – Jest często burza mózgów i każdy może zaproponować dany krok. Jednak każdy z nas musi trzymać się zaplanowanych choreografii. Większość jest przygotowana przez Kacpra, ale ja z Kamilą mieliśmy okazję ułożyć również coś swojego. Mój autorski układ do piosenki „Roxanne” można było zobaczyć w ostatnim czasie. To jest rozwijające i mobilizujące.

Kamila: – Kacper jest bardzo otwarty na nasze sugestie. Ma do nas zaufanie i to jest fajne. Układałam kilka choreografii do „Showlesque” czy „The Bodyguard”, więc mogę rozwijać się również w tym kierunku, co bardzo mnie cieszy.

W teatrze nic dwa razy się nie dzieje. Wychodzicie, jesteście tu i teraz. Zapewne zdarzają się jakieś wpadki i sytuacje, w których musicie zaradzić coś na bieżąco.

Dawid: – Kiedy coś nie wychodzi, to przede wszystkim nie trzeba się stresować. Ja często uśmiecham się i pokazuję, że wszystko jest ok. Nie można dać po sobie poznać. Zwłaszcza jak Kamila podczas tańca wykręciła mi rękę i trochę zzieleniałem (śmiej).

Kamila: – Często śmieję się sama do siebie, że zapomniałam jakiegoś kroku. Nadrabiam wtedy improwizacją i na pewno nie stoję w miejscu. Wielokrotnie po spektaklu pytam mamę, czy

widziała jakąś pomyłkę, ale mówi, że nic nie zauważyła. Same przerwy pomiędzy choreografiami są dla nas wyzwaniem, bo czasami jest to niespełna minuta, maksymalnie dwie, kiedy trzeba szybko zmienić strój i bieć na następny układ.

Łączy was taniec, ale każdy z was na co dzień zajmuje się czymś zupełnie innym. Opowiedzcie o swojej pracy, bo to jest bardzo ciekawe. Paula, jesteś pielęgniarką w szpitalu, więc zapewne podczas pandemii miałaś pełne ręce roboty. Klaudia trochę mniej – bo pracujesz jako event manager, ale również zachęcasz ludzi do adopcji psów. Kamila, ty szkolisz się w branży beauty. Natomiast Dawid pracuje w Urzędzie Miasta i Gminy Sianów – brzmi poważnie.

Dawid: – W Urzędzie Gminy i Miasta Sianów pracuję już 16 lat. To jest dla mnie całkowicie coś innego niż to, co robię popołudniami. Zderzenie dwóch światów. Jestem zastępcą kierownika Referatu Budownictwa, Nieruchomości i Ochrony Środowiska. Bardzo lubię realizować się w sferze edukacji ekologicznej. Prowadzimy różnego rodzaju kampanie w gminie. Moja praca to nie tylko siedzenie za biurkiem, ale również w terenie. Na nogach jestem od 7 do 22, ale dzięki temu nie ma mowy o nudzie.

Klaudia: – Od pięciu lat pracuję jako event manager. Jestem człowiekiem od zadań specjalnych. Organizujemy wiele imprez m.in. firmowych. Niestety, przez pandemię w ostatnim czasie pracy było niewiele. Od zawsze ekscytowało mnie organizowanie koncertów czy różnych ciekawych wydarzeń. Zaczęło się niewinnie, od pracy hostessy. Do moich obecnych zadań należy m.in. organizacja pracy zespołu podczas imprezy, poszukiwanie podwykonawców czy chociażby tworzenie checklisty. Muszę również potrafić wybrnąć z różnych sytuacji. Impreza dla ponad trzech tysięcy osób jest ogromnym wyzwaniem. Trzeba zadbać o każdego gościa. Zajmujemy się również występami artystów i wszelkimi zadaniami z tym związanymi. Jeden z polskich zespołów w dniu imprezy zażyczył sobie dodatkowego cateringu przed wyjściem na scenę, pomimo że nie było o tym wcześniej mowy. Trudno było w sobotę ogarnąć konkretne przekąski na już. Nie będę zdradzać szczegółów, ale z pomocą osobistych „elfów” udało się dostarczyć piękne i przepyszne bagietki. Nasi artyści byli bardzo zadowoleni, a ja wiem, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych.

Paula: – Jestem pielęgniarką od ponad trzech lat. Właściwie nie wiem, dlaczego wybrałam taki zawód. Zawsze chciałam być lekarzem. Niestety, mając tyle zainteresowań nie starczyło mi czasu na studiowanie medycyny, więc pewnie stąd to pielęgniarstwo. Lubię swoją pracę. Jestem pielęgniarką zabiegową na oddziale wewnętrznym, a to oznacza różne drobne zabiegi, jak podanie kroplówki, pobieranie krwi, szpików itp. W szpitalu włącza mi się taka totalna empatia. Pracy nie brakuje, a podczas pandemii to już w ogóle. Aż tak tego nie odczułam, bo przez lockdown musiałam jeszcze bardziej niż zwykle zajmować się synkiem.

Kamila: – Od kiedy zaczęłam tańczyć nie wyobrażałam sobie, że kiedyś mogę przestać to robić. Jednak mój chłopak sprowadził mnie na ziemię, tłumacząc mi, że muszę mieć na siebie tzw. plan B. Czas upływa i, niestety, nie zawsze będę mogła to robić. Pomyślałam więc, że nauczę się robić rzęsy. Szkołę się już długi czas i cieszę się, że zajęłam się tym. Jest to dla mnie odskocznia, gdzie mogę się skupić, wyciszyć. To daje mi równowagę, bo kiedy wychodzę na scenę, to szaleję.

Czy cechy bądź umiejętności nabyte w pracy pomagają wam później w teatrze i na odwrót?

Paula: – Dzięki pracy w szpitalu jestem bardziej wyrozumiała, jestem w stanie zrozumieć ludzi i wczuwam się w ich sytuację. Często pacjenci kojarzą mnie jednak z teatru. Ta artystyczna praca sprawia, że ja często chodzę uśmiechnięta, wyluzowana i to bardzo dobrze wpływa na relacje z pacjentami.

Klaudia: – Na pewno dzięki pracy jako event manager jestem bardzo dobrze zorganizowana, wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Przydaje mi się to również w teatrze, bo wiem, co muszę mieć przygotowane i staram się dbać o każdy szczegół – chociażby garderoby. Wszystkie stroje mam poukładane, nie chcę, żeby coś mnie zaskoczyło. Natomiast w drugą stronę, na pewno opanowałam wychodzenie z opresji w pracy, tak samo jest w kwestii niespodzianek podczas spektaklu. Nie daję tego po sobie poznać, gdy napotykam drobne problemy. Jestem również otwarta na ludzi i kontakt z nimi dzięki temu, że występuję na scenie.

Kamila: – Taniec i branża beauty daje mi równowagę. Na scenie mogę wyrażać się artystycznie, wyzbyć się wielu emocji, a robiąc rzęsy uspokajam się. Oczywiście, to również plus dla moich koleżanek z teatru (śmiej). Mogę zadbać o ich oprawę oka, cieszę się, że i w taki sposób mogę się wykazać.

Dawid: – Dla mnie zarówno praca w urzędzie, jak i w teatrze jest twórcza, kreatywna. Możemy coś dobrego zrobić. W urzędzie dla mieszkańców chociażby przeprowadzić kampanię edukacyjną, a w teatrze mogę podzielić się swoimi emocjami z publicznością. Każde moje obowiązki uczą mnie cierpliwości i dobrej organizacji.

Oprócz tańca macie jeszcze inne pasje i zajęcia, które wykonujecie popołudniami. Mam wrażenie, że doba jest dla was za krótka.

Kamila: – Dla mnie to sport w różnej postaci. Od biegania przez jogę po treningi na siłowni. Staram się znaleźć czas i na medytację, i na czytanie książek. A poza tym to teatr i rzęsy pochłaniają cały mój czas. Jednak mimo wszystko taniec stawiam na pierwszym miejscu.

Paula: – Ja również i biegam, i chodzę na treningi. Popołudniami prowadzę też zajęcia taneczne dla dzieci w Studiu Tańca „Pasja”. Tę pracę również uwielbiam. Mam kalendarz, który jest ułożony, co do godziny. Wszystko jest kwestią dobrej organizacji.

Klaudia: – W pandemii zaczęłam wykupować sobie różne kursy taneczne. Te amerykańskie były prowadzone na żywo, gdy u nas było bardzo późno w nocy. Mimo tego czekałam i brałam w nich udział. Były nie tylko zajęcia online, ale też gotowa, nagrana nauka choreografii, do której można wracać o każdej porze dnia. Uczylam się u samej Parris Goebel (choreograf Jennifer Lopez, Rihanny itp.), a więc tańca na najwyższym poziomie. Teraz powoli będę mogła działać w mojej branży eventowej. Moim obowiązkiem, ale przede wszystkim ogromną miłością, są również moje mopsy, które adoptowałam. Wydaje mi się, że z moim podejściem do zwierząt na starość zostanę ekoterrorystką, która będzie ratowała potrzebujące zwierzęta lub zatrzymywała tiry z przewozami zwierząt na ubój. Nie ukrywam, że mopsy skradły moje serce. Dla mnie są nie do podrobienia, to rasa, która

zachowuje się jak małe dzieci. Nie odstępują mnie na krok, śpią wtulone i zawsze potrzebują bliskiego kontaktu – często jak mali prześladowcy (śmiej). Zachęcam wszystkich, żeby adoptować zwierzęta, a nie kupować z pseudohodowli. Warunki tam są straszne i niegodne żadnego stworzenia. Gorąco polecam Stowarzyszenie „Mopsy w potrzebie”, tam również jestem zaangażowana i mam swój wpływ na los czworonogów.

Dawid: – Staram się dbać o formę. Trenuję na siłowni. Również prowadzę, jak już wcześniej wspomniałem, zajęcia dla dzieci. Bardzo lubię ten czas, bo można je nakierować, ale też o wszystkim porozmawiać. Mam stałe grupy od siedmiu lat. To miłe uczucie, widząc ich rozwój od najmłodszych lat. Jestem również instruktorem zumbi, to dodatkowa forma ekspresji, gdzie nie ma spiny i konkretnych wymagań. Chodzi przede wszystkim o dobrą zabawę. Brałem udział w wielu maratonach z instruktorami z całej Polski.

Chciałabym, żebyśmy na chwilę wrócili wspomnieniami do „The Bodyguard” i wrażeń z premiery. To ogromne przedsięwzięcie, każdy z was wykonał wiele pracy i udało się, bo koszalińska publiczność pokochała was...

Paula: – Nie ma co ukrywać, wszyscy byliśmy podekscytowani tym całym przedsięwzięciem. Odbiór był pozytywny i bardzo to nas cieszy.

Kamila: – Nigdy w życiu nie miałam takiego uczucia jak wtedy. Nie zapomnę rozsuwającej się kurtyny i tych emocji. Miałam okazję wiele razy występować dla publiczności, ale nie czułam tego, co w tamtym momencie. Dla mnie to bardzo ważna premiera. Mimo że występowaliśmy przed ograniczoną liczbą osób, to już nie mogę doczekać się pełnej sali. To na pewno będą piękne emocje. Interakcja z ludźmi jest dla mnie najważniejsza.

Dawid: – Stres był niesamowity, szczególnie przy premierze. Ten moment, kiedy włączone są światła, wychodzimy na scenie, to serce staje i człowiek zastanawia się czy to już czy za chwilę ruszy cała ta machina.

Klaudia: – Byłam po prostu dumna z naszej całej ekipy. Bardzo wiele przygotowań, prób i emocji nas to kosztowało. Wiązaliśmy z tym spektaklem ogromne nadzieje. Okazało się, że ludziom spodobało się, a odbiór był bardzo pozytywny. Bo tak naprawdę to na te pierwsze opinie czekamy najbardziej. Każdy komentarz, że spektakl dostarczył emocji i niesamowitych wrażeń jest ogromnie motywujący. Z pewnością ludziom brakowało takiego miejsca w Koszalinie jak Teatr Muzyczny „Adria”.

Jakie są wasze taneczne wzorce? Kto był dla was autorytetem w tej dziedzinie?

Paula: – Myślę, że pierwsza nauczycielka tańca, Tatiana z Młodzieżowego Domu Kultury. Była bardzo wymagającą osobą, z którą nie było mowy o kompromisie (śmiej). Dzięki niej wiem, że na scenie zawsze musi być show i nie może zabraknąć zbudowanej do tańca historii. Wszystko było dopracowane od choreografii po kostiumy.

Klaudia: – Dla mnie pierwszym autorytetem był Piotr Wiliński. Pokazał mi, że można osiągnąć wiele, będąc samoukiem, a najważniejsza jest konsekwencja i treningi. Obecnie moją ogromną

Prędkość, moc, stabilność – to światłowód do 1 Gigabita

w Telewizji Kablowej Koszalin.

Dołącz do szybkich i ... najszybszych w mieście według rankingu speedtestu.pl



TELEWIZJA
KABLOWA KOSZALIN

SPÓŁKA z o.o.

Zapytaj o ofertę w Biurze Obsługi Klienta:

TKK Sp. z o.o. ul. Kotarbińskiego 3, 75-352 Koszalin
tel. 94 720 20 20 www.tkk.net.pl

Według rankingu speedtest.pl – testy przeprowadzono od 01.01.2019 r. do 31.05.2019 r.

Telewizja Kablowa Koszalin Sp. z o.o. informuje o wprowadzeniu do oferty nowych kanałów:



Canal + Sport 3



Canal + Sport 4



Canal + Now



Ukraina 24



Food Network



Antena HD



TVP Kobieta



Dorcel XXX

Kanały:

Polsat Viasat Explorer, History, Russia Today, CNBC, CNN, Polsat Seriale
zmieniły rozdzielczość z SD na HD.



inspiracją jest Yanis Marshall, francuski tancerz i choreograf, który uczy stylu high heels (w butach na obcasie), wcześniej wspomniana Parris Goebel czy każda tancerka Beyonce, chociażby Ashley Everett.

Dawid: – Na pewno wspominam dobrze swoich pierwszych nauczycieli tańca. Również imponowała mi wykładowczyni tańca współczesnego na studiach, Eliza Hołubowska.

Kamila: – Myślę, że powinnam odnieść się do moich początków. Podpatrywałam trenerów ze szkoły tańca Top Toys, bardzo mi imponowali i wiele mnie nauczyli.

Jakie są wasze artystyczne marzenia?

Paula: – Moim marzeniem jest wyjechać w trasę. Lubię duże festiwalowe sceny. Natomiast na miejscu fajnie byłoby dostać rolę, którą można poprowadzić i aktorsko, i tanecznie. Może zaryzykuję stwierdzenie, że chciałabym wszystkiego spróbować nawet śpiewu, ponieważ lubię nowe wyzwania.

Klaudia: – Gdybym mogła cofnąć czas, to na pewno poświęciłabym się tańcowi już od najmłodszych lat i być może kiedyś mogłabym wystąpić u boku mojej idolki Beyonce. Polki tańczą u boku różnych światowej sławy artystów, to jest w zasięgu naszych marzeń, ale kosztuje wiele pracy, determinacji i wyrzeczeń. A jeśli chodzi o „Adrię”, to moim marzeniem jest jak najdłużej współpracować z teatrem. Bardzo chętnie sprawdziłabym się w jakiejś roli komediowej. Fajnie byłoby wziąć udział w spektaklu

typu „Dirty Dancing” czy w adaptacji któregoś dzieła Quentina Tarantino – świetna muzyka i zabawa konwencją. Myślę, że byłoby to coś oryginalnego. Tim Burton jest również świetnym reżyserem i scenarzystą. Tam na pewno można byłoby zaszaleć z charakteryzacją.

Dawid: – Chciałbym wykazać się na scenie nie tylko tanecznie, ale też aktorsko. Śpiew u mnie zdecydowanie odpada (śmiech). Miło byłoby mieć różne wyzwania taneczne w różnych stylach. Myślę, że ciekawym doświadczeniem mogłoby być poruszenie ważnych kwestii społecznych, ekologicznych, właśnie za pośrednictwem tańca. Chciałbym poruszyć widza i dać mu do myślenia. Również chciałbym wyruszyć gdzieś w długą taneczną trasę, gdzie można by było stanąć przed wielką publicznością ale również u boku wspaniałych gwiazd muzyki.

Kamila: – Na pewno fajnym wyzwaniem byłaby trasa ze znanym artystą muzycznym. Oczywiście, gdzieś tam myśli się o takich wydarzeniach jak Super Bowl. W końcu Polka Klaudia Antos tańczyła przy Jennifer Lopez. Myślę, że byłoby to fajne przeżycie, ale zejźmy na ziemię (śmiech). Sam wyjazd z naszym musicalem byłby ciekawym doświadczeniem. Chcielibyśmy sprawdzać się w różnych rolach. Przed nami koncert „Zaczarowana piosenka”, który dedykowany jest głównie dla dzieci. Każdy nowy projekt jest dla nas wyzwaniem. Chcemy, żeby już nigdy więcej nie było lockdownu. To jest największe marzenie w tym momencie, żeby tańczyć przed publicznością bez ograniczeń. Czekamy z niecierpliwością na to, co nadejdzie. ■

BAŚNIOWE MIASTO BIAŁYCH NOCY

Trudno uwierzyć, że jeszcze przed trzema stuleciami miejsce zajmowane teraz przez jedną z najpiękniejszych metropolii świata pokryte było bagnami i moczarami. A jednak to prawda. Na dalekiej północy, blisko koła podbiegunowego car Piotr I zbudował Sankt Petersburg, swoje „okno na świat”. Dziś to gościnne miasto zniewala atmosferą, urzeka urodą przepysznych, pastelowych w kolorach pałaców, olśniewa blaskiem złota bijącym od prawosławnych świątyń i zdumiewa harmonijnym splotem architektonicznych stylów – klasycyzmu, baroku, rokoka, empire i secesji.

Tekst i zdjęcia: Izabela Nowak

STOLICA NAD NEWĄ

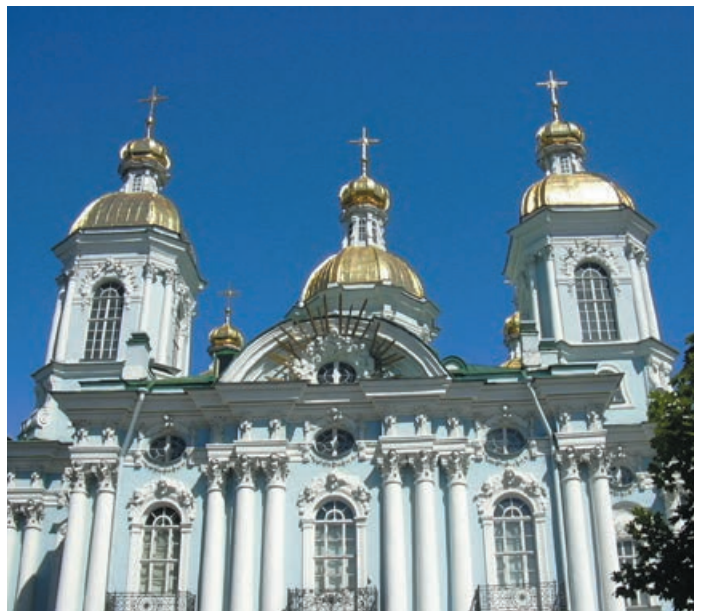
Piotr I, który miasto nad Newą uczynił stolicą Rosji, przekazał miłość do Sankt Petersburga swoim następcom. Przez 200 lat to właśnie z tej baśniowej „Wenecji Północy” rosyjscy carowie władali swoim imperium. Kontynuowali również tradycje Piotra Wielkiego, podróżując po Europie i zapraszając do Petersburga czołowych europejskich artystów – architektów, malarzy, rzeźbiarzy. Ich talent, oryginalność architektonicznych koncepcji i artystyczna fantazja złożyły się na kształt metropolii, która – i liczbą zabytków i urodą – z powodzeniem konkuruje z wielkimi europejskimi miastami.

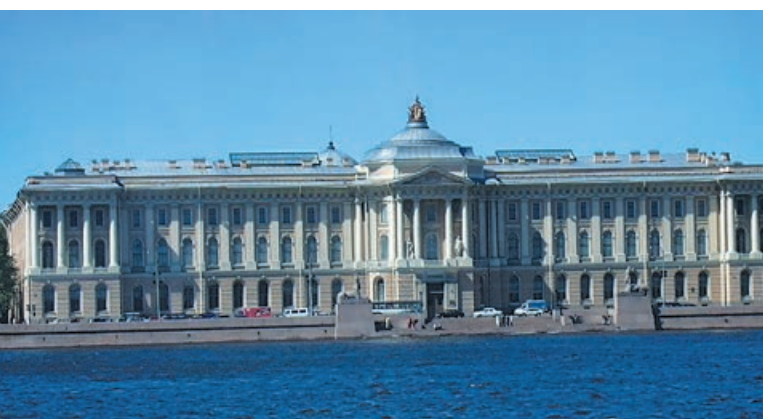
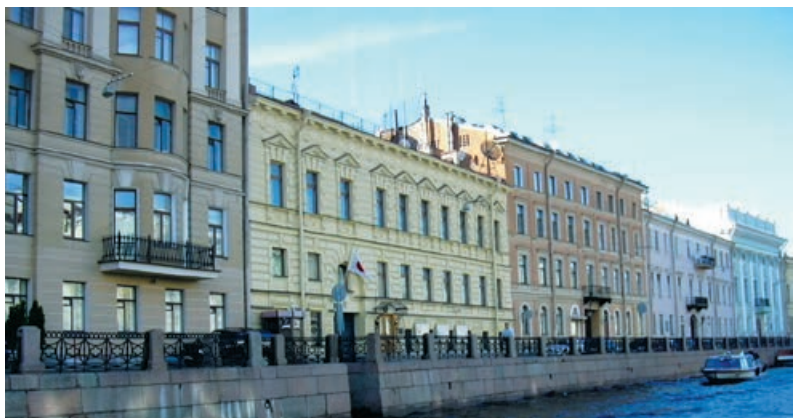
Niegdyś Sankt Petersburg słynął z olśniewającego carskiego dworu, z fantastycznych dworskich zabaw. Ale nie tylko. Przebogate pałacowe komnaty były również sceną niezwykłych romantycznych uniesień, przemysłowych dworskich intryg, a także okrutnych wydarzeń niesionych przez odwieczną żądzę władzy.

TAJEMNICE WYSPY ZAJĘCZEJ

Kolebką, gdzie narodziła się sława Sankt Petersburga, jest Wyspa Zajęcza. Od 1708 roku nad tym małym skrawkiem lądu góruje najstarsza z miejskich budowli – Twierdza Pietropawłowska, wzniesiona przez Piotra I do obrony przed Szwedami. W lochach potężnej twierdzy zginął podczas tortur syn Piotra I – młodziutki książę Aleksy, podejrzewany przez wszechwładnego ojca o zamach stanu. Ale nie tylko mroczne wspomnienia tworzą atmosferę wyspy. Tuż obok posępnej fortecy wznosi się bowiem przepiękny Sobór Świętych Apostołów Piotra i Pawła – bogato zdobiona nekropolia rosyjskich carów z najwyższą w Rosji 122-metrową dzwonnica. Z jej szczytu złocisty anioł w powiewnej szacie błogosławi miasto.

Wędrujemy brzegiem Newy, podziwiając niezliczone mosty i przepiękne pałace należące niegdyś do arystokratycznych rodów. Pod drodze mijamy uroczne zakątki, jakby przeniesione na





daleką północ wprost z Wenecji, z Paryża czy z Amsterdamu, a także słynną przystań z autentycznymi, liczącymi sobie ponad trzy tysiące lat egipskimi sfinksami.

SAKRALNE KLEJNOTY

Sobór Świętych Apostołów Piotra i Pawła to jedna z wielu zdumiewających bogactw budowli sakralnych Sankt Petersburga. Kolejny z sakralnych klejnotów – barokowy Sobór Świętego Mikołaja – zachwyca harmonią płynącą z idealnych proporcji, kolorystyką utrzymaną w tonacji błękitu, bieli i żółta, wspaniałym kompozycyjnie ikonostasem i bogatą kolekcją cennych staroruskich ikon. Kolejne perły to Sobór Kazański,

inspirowany Bazyliką Świętego Piotra w Watykanie, i Klasztor Aleksandra Newskiego wraz z klasycystycznym Soborem Świętej Trójcy.

Orientalna bizantyjska egzotyka połączona z tęczowymi barwami wyróżnia natomiast Świątynię Wniebowstąpienia Chrystusa, zaliczaną do najbardziej unikatowych w skali świata dzieł sztuki sakralnej. W pracach dekoratorskich uczestniczyli mistrzowie mozaiki, malarstwa, rzeźby, ceramiki, a rezultat jest oszałamiający. Równie efektowne jest pokryte lśniącą, złocisto-turkusową mozaiką wnętrze tej baśniowej świątyni.

Jednak pierwsze miejsce w tym rankingu architektonicznych cudów zajmuje budowany przez 40 lat monumentalny Sobór Is-

sakiewskij. Gigantyczny, uwieńczony pozłacaną kopułą gmach ozdobiono sztukateriami i rzeźbami. Lśniące od złota, miedzi i szlachetnych, kamieni wnętrze świątyni zdumiewa swoim bogactwem i harmonią. Wrażenie przepychu powiększają polichromiczne malowidła. Ze złoczonej kopuły warto podziwiać rozległą panoramę Sankt Petersburga. Widok jest tym ciekawszy, że miasto położone jest na kilkunastu dużych i setce mniejszych wysp poprzedzielanych rzekami i kanałami.

SPOTKANIE Z MIEDZIANYM JEŹDZCEM

Tuż przed Soborem Issakiewskim czeka na nas słynny Miedziany Jeździec – wspaniały pomnik Piotra I na koniu. To hołd złożony wielkiemu carowi przez Katarzynę II, o czym przypomina wykuta w marmurowym cokole łacińska dedykacja: „Petro primo – Catharina secunda”. Zdobiący plac Issakiewski monument jest dziełem francuskiego rzeźbiarza. Etienne Falconet pracował nad pomnikiem ponad 12 lat. Trudno się dziwić, że tak dynamiczny, odsłonięty w 1782 roku posąg stał się inspiracją dla wielu słynnych pisarzy – Puszkina, Mickiewicza, a nawet Juliana Tuwima. Podobno przynosi szczęście w miłości, więc często fotografują się przy nim zakochane pary. Warto dodać, że niedawno słynny pomnik odegrał całkiem sporą rolę w skandalu obyczajowym, gdyż właśnie w tej scenarii zrealizowano film pornograficzny. Jak widać, Miedziany Jeździec fascynuje nie tylko poetów...

PETERSBURSKIE SOUVENIRY

Trudno oderwać wzrok od majestatycznego jeźdźca, ale sporą pokusą okazują się niezliczone kramiki z pamiątkami. Oferta zadziwia różnorodnością. Sympatycznie uśmiechnięci sprzedawcy proponują urocze, jaskrawo pomalowane matryoszki, zabawne „wańki-wstańki, kolorowe puzderka, śliczne, ręcznie malowane pejzaże, breloczki (ozdobione oczywiście Miedzianym Jeźdźcem), lśniące i bajecznie kolorowe imitacje słynnych jasek Fabergé i „sztukę nowoczesną” – kubki i piersiówki z podobiznami Lenina, Stalina czy Putina, wojskowe czapki z niezliczoną ilością odznaczeń, futrzane nakrycia głowy, koszulki z komunistycznymi emblematami, a nawet lornetki. Za bardzo umiarkowaną cenę można stać się również właścicielem własnego portreciku narysowanego w rekordowym tempie przez ulicznego artystę.

CARSKIE REZYDENCJE

Zanim podążymy szlakiem najpiękniejszych rezydencji, zwiedzamy maleńki budynek na prawym brzegu Newy. Naprawdę trudno go nazwać carskim pałacem, a jednak to właśnie tutaj mieściła się pierwsza siedziba wszechwładnego Piotra I. Dziwne, ale prawdziwe. W 1703 roku, kiedy car podjął decyzję o budowie swojego „okna na świat”, holenderscy cieśle w ekspresowym tempie wzniesli dla niego mały parterowy domek z pomalowanych na czerwono drewnianych bali. Ta przedziwna „carska rezydencja” do złudzenia przypomina skromne domki niezbyt zamożnych holenderskich mieszczan. Wiemy, że car często podróżował incognito do Królestwa Niderlandów, zgłębiając w holenderskich dokach tajniki budowy okrętów. Może właśnie w Holandii polubił małe, przytulne domki? Nie zniechęciły go nawet niskie drzwi wejściowe, z trudem mieszczące ponad dwumetrowego gospodarza – Piotr I wielki był nie tylko duchem, ale i ciałem!

Z pewnością potężny car dobrze czuł się w swoim holenderskim domku. Jednak reprezentacyjne funkcje rosyjskiego imperium pełnił o wiele bardziej okazały i wyposażony z niezwykłym

przepychem budynek. To wzniesiony na początku XVIII wieku Pałac Mieńskiowski. To właśnie tutaj car wydawał huczne przyjęcia. Często towarzyszyła mu ukochana małżonka – czarnooka i czarnowłosa Katarzyna I, która – zanim przyjęła to imię nazywała się... Marta Skowrońska.

Urodą i architektonicznym przepychem z powodzeniem konkuruje z Pałacem Mieńskiowskim kolejna rezydencja na brzegu Newy. To wspaniały Pałac Marmurowy, iście królewski dar, jaki Katarzyna II przygotowała dla swego ulubionego faworyta – księcia Grigorija Orłowa. Kolejna carska rezydencja – Zamek Michałowski – jest najbardziej zagadkowym pomnikiem architektury rosyjskiej XVIII w., fascynującym od lat historyków, pisarzy i poetów. Zbudowany został jako zamek-twierdza na polecenie cara Pawła I, obsesyjnie obawiającego się zamachu na swoje życie. Historia potwierdziła słuszność tych obaw. Nie pomogły zwodzone mosty przerzucone nad głęboką fosą. Zamachowców nie powstrzymało nawet 20 armat... i w swoim ufortyfikowanym zamku Paweł I przeżył za ledwie 40 dni...

NA NEWSKIM PROSPEKCIE

Wizytówką i symbolem Sankt Petersburga jest najśłynniejsza ulica Rosji – opiewany w wierszach i w pieśniach legendarny Newski Prospekt, równie zachwycający jak paryskie Pola Elizejskie. Na początku XX wieku był jednym z najwspanialszych bulwarów Europy, dziś – zachowując swoją urodę – stał się główną aleją miasta, centrum handlowym i ośrodkiem życia towarzyskiego, pełnym eleganckich restauracji, ogródkowych kawiarenek i luksusowych sklepów.

Wśród pałacowych budowli i secesyjnych kamieniczek zdobiących Newski Prospekt znajduje się miejsce magiczne... Pod numerem 18, tuż obok antykwariatu wchodzimy do najbardziej znanego spośród petersburskich lokali – „Literackiej Kawiarni”. To właśnie tutaj Gogol i Dostojewski prowadzili z przyjaciółmi niekończące się rozmowy, a przy jednym ze stolików Aleksander Puszkina, tuż przed tragicznie zakończonym pojedynkiem, spędził ostatnie chwile życia pijąc kawę ze swoim sekundantem...

Ta magiczna kawiarnia słynie nie tylko z nostalgicznej, pełnej wspomnień atmosfery, ale również z wybornej, aromatycznej herbaty, podawanej oczywiście z konfiturami. Wspaniale smakują konfitury z czarnej porzeczki, równie pyszne są z jarzębiny, ale wyjątkowym przysmakiem okazały się rajskie jabłuszka (z ogonkami!).

CZAR BIAŁYCH NOCY

Nie tylko talent wybitnych artystów współtworzy baśniowy klimat Sankt Petersburga. To miasto otrzymało jeszcze jeden wspaniały dar. Tym razem od natury. Słynne białe noce przyciągają jak magnes miliony turystów. Od czerwca do sierpnia w Petersburgu nie zapada zmrok. Ukryte tuż za chmurami słońce zabarwia bladoróżowe niebo błękitnymi, złocistymi i turkusowymi pasmami, czasami rozświetlonymi blaskiem zorzy polarnej. To niezemskie światło podkreśla urodę miasta.

I jak tu się dziwić, że nikt nie śpi podczas białych nocy? Parki i ogródkowe kawiarenki zapełnia rozbawiony tłum. Około drugiej w nocy wyruszamy więc nad Newę, gdyż właśnie wówczas rozpoczyna się misterium podnoszenia zwodzonych mostów, a do petersburskiego portu wpływają dalekomorskie statki. Strzelają fajerwerki, flesze i korki od szampana, marynarze z całego świata pozdrawiają baśniowy Petersburg i wszystkich porywa nastroj niemal śródziemnomorskiej fiesty... ■

Z PASJI DO STARYCH MASZYN I TRAKTORÓW

W miejscowości Dobre w gminie Będzino działa fundacja, która ma w swoich zasobach mnóstwo zabytkowych ciągników i innego sprzętu. Dzięki Fundacji „Nowe Życie” przywracana jest im druga młodość. Instytucja powstała z inicjatywy Anny Osman i jej męża i nosiła dawniej nazwę „Nowe Życie – Starych Pojazdów”. Niestety, partner pani Anny niedawno zmarł, ale ona zdecydowała się nadal kontynuować wspólne dzieło.

Tekst: Tomasz Wojciechowski
Zdjęcia: prywatne archiwum

Fundacja „Nowe Życie – Starych Pojazdów” przez tych kilka lat działalności – a dokładniej dziewięć – stała się znana i rozpoznawalna w regionie. Jak zaczynaliście? Kto wpadł na pomysł?

– Minęło dziewięć lat? Oj, ten czas tak szybko leci... Pomyślając o założeniu fundacji byłam ja. Mieliśmy wówczas trzy, cztery traktory i kilka polskich samochodów. Dlaczego padło na fundację? Dlatego, że formalnie było to prostsze od założenia stowarzyszenia i daje kontrolę nad „majątkiem”. Mąż był fundatorem, a ja prezesem. Był, ponieważ trzy miesiące temu zmarł. Działalność fundacji od daty założenia do 2020 roku polegała głównie na promowaniu regionu, zakupie maszyn, aut, traktorów i wszystkiego, co osiągnęło magiczny wiek. Celowo nie używam słowa „stare”, pewnie mąż by się obraził. On patrzył na wszystkie te przedmioty z zachwytem, troską. W ogóle nie interesował się nowoczesnością, wręcz ją krytykował. Uwielbiał oglądać filmy dokumentalne, kostiumowe gdzie mógł podziwiać trud życia tamtych czasów. W ubiegłym roku fundacja „Nowe Życie – Starych Pojazdów” została zmieniona wraz ze statutem i obecnie nosi nazwę Fundacja „Nowe życie”.

Zmiana nazwy jest, z tego, co mi wiadomo, związana z rozszerzeniem działalności fundacji?

– Zawodowo pracuję z osobami niepełnosprawnymi, więc postanowiłam poszerzyć działalność o działania na rzecz osób najbardziej potrzebujących wsparcia. Prowadzenie kolejnej organizacji mogłoby być dla mnie obciążeniem, stąd zmiana nazwy i działań statutowych. Oczywiście, koronawirus mocno namie-

szał w naszych planach – to trudny czas dla organizacji pozarządowych, fundacji.

A co dalej z działalnością pani instytucji? Ponoć mieliście pomysł na utworzenie muzeum, skansenu?

– Co dalej? Chciałabym przedstawić plany na przyszłość, ale niestety, z uwagi na śmierć męża uległy one zmianie. Kilka lat temu, kiedy nasz zbiór coraz bardziej powiększał się, wpadliśmy oboje na pomysł promujący nas oraz naszą gminę w postaci skansenu. Inwestycja okazała się bardzo kosztowna, więc szukaliśmy środków zewnętrznych na realizację tego zamierzenia. To było przede wszystkim marzeniem mojego męża – ratowanie dorobku kultury, historii naszych przodków, historii człowieka i maszyny. Przez około 10 lat udało nam się uratować sporo cudownych egzemplarzy. Cała kolekcja składa się z przeszło 60 aut, 10 traktorów i ponad 20 motocykli, maszyn rolniczych i ogromnej ilości części do samochodów, jak i motorów... pewnie jest tego więcej, niż wymieniam. Do tego mamy przedmioty z okresu PRL: telewizory, radia, naczynia, rowery. Jest tego tak dużo, że naprawdę trudno czegoś nie ominąć. Ale mamy też zbiory przedwojenne: wózki dziecięce, dokumenty, gazety, pamiątki rodzinne.

Pamięta pani wasz pierwszy eksponat?

– Co było pierwsze? Hmm... pierwszy był Ursus C-328 z 1964 roku, tzw. ciapek. Pamiętam, jak mąż pojechał do Sarbinowa na prywatną imprezę miłośników zabytkowych maszyn. Były konkursy, wystawa maszyn, prezentacja i korowód przez miejscowość. Proszę sobie wyobrazić środek sezonu, ogromną liczbę turystów i cudowne maszyny z duszą... Musieliśmy szybko kupić inny traktor dla męża, bo „ciapek” jest moją miłością. Na nim przez wszystkie lata biorę udział w imprezach, konkursach, które wygrywam, oczywiście.

Czyli hasło z dawnych lat „kobiety na traktory” dziś nabiera innego sensu. Jak się pani odnajduje w świecie „męskich zabawek”?

– Cóż, przez 25 lat byłam żoną mechanika i znajomość tej tematyki jest mi bardzo bliska. Nieraz pomagałam mu na garażu. Sama zamontowałam nawet rozrusznik w maluchu. Najczęściej jednak przygotowywałam auta lub ich elementy do lakierowania.





Moim zadaniem było matowienie, docieranie i odtłuszczenie. Mój pierwszy maluch był przeze mnie samodzielnie przygotowany do lakierowania. Tak, potrafię to robić. Pewnie zawstydziłabym niejednego pana znajomością mechaniki, ale przecież nie o to chodzi. Jak się coś kocha czy lubi, to ani wiek, ani płeć nie ma znaczenia. Z pasją nie zostałam sama. Mamy córkę Patrycję, która wraz z jej przyszłym mężem Dominikiem ma małą kolekcję. Zarazili się, bo to jest choroba zakaźna (śmiech). W czerwcu dołączę „ciapkami” do grupy traktorowych przyjaciół, którzy zatrzymają się w Łazach na dobę. Tam standardowo poszalejemy na plaży i pewnie odwiedzimy przyjaciół. Po sezonie team cudownych ludzi o wielkim sercu przyjedzie pożegnać męża, pokonując kilkaset kilometrów. To będą trudne dla nas momenty. Chciałabym spełnić swoje marzenie i kupić forda mustanga z 1964 roku – ale czy mi się uda? Podobno marzenia się spełniają, więc liczę na to.

Opowiada pani o starych maszynach z wielką fascynacją. Za co można je pokochać?

– Za co można pokochać stare maszyny? Kocha się po prostu. Ale tak serio, to chyba za ich niezawodność i prostotę. Te maszyny mają duszę. Każdy z tych samochodów ma swoją historię,

jadąc nim czuję się, jakby czas stanął w miejscu. Tego nie można się nauczyć... Musi być chemia. Albo wsiądziesz i się zakochasz, albo nie. Wszystkie eksponaty zakupione są z własnych środków. Renowacja ich, naprawa finansowana była z naszych oszczędności... Jeśli można w ogóle mówić o oszczędnościach, bo mój mąż każde zarobione pieniądze wydawał na pasję. Co najmniej raz w miesiącu na podłodze w salonie rozkładał nowo zakupione skarby. W 2020 roku udało mu się zrealizować kilka swoich największych marzeń i kupić m.in. mercedesa 108 i juna-ka M10.

Ale wasza działalność to nie tylko pasja. Lecz także propagowanie dziedzictwa kulturowego.

– Oczywiście, że wszystko naraz. Niektórzy traktują kolekcjonerstwo jako inwestycję i słusznie, bo wartość zakupionych maszyn, aut z roku na rok wzrasta. Za to w przypadku nowych samochodów traci na wartości. Naszym głównym celem było ratowanie i zachowanie oryginalności. Pokazanie młodemu pokoleniu kawałka naszej historii, wzbudzenie ich zainteresowań, ale również próba zarażenia pasją. Tacy ludzie jak my – pozytywnie „chorzy” chcemy dzielić się tą „chorobą” z innymi. ■

PRAWNUK, WNUK I SYN RYBAKA

Uśmiecha się serdecznie i zagaduje każdego przechodzącego główną drogą przystani w Unieściu, zapraszając do degustacji. To, co proponuje, ma taki smak, że prawie nikt nie odchodzi bez niewielkiego słoiczka zawierającego przysmak nad przysmaki – paprykarz. Ale nie ten kultowy – szczeciński. Tu się tworzy nowy kult – „Paprykarz córki rybaka”.

Tekst: Dana Jurszewicz

Zdjęcia: Magda Pater, archiwum prywatne

Tomasz Polak należy do czwartego pokolenia zajmującego się rybami na tej przystani – od łowienia po przetwórstwo. Należy też do chyba najliczniejszego rybackiego klanu Pietrzaków, który osiadł tu w końcu 1945 roku. I ma rację, gdy mówi: „Nasza wędzarnia w Unieściu na przystani jest od zawsze”. Teraz dołączył do tego sklepu z rybą i przetworami.

NAD BAŁTYK

Pierwszym z klanu był Leon Pietrzak. Przed wojną łowił na wodach jeziora koło Gniezna. Rodzina nie miała ziemi, za to miała dziesięcioro dzieci. Po wojnie proponowano mu gospodarstwo, ale jego ciągnęło na szersze wody – nad Bałtyk. Zwłaszcza że ktoś ze znajomych już tam wyjechał, konkretnie do Chłopów. I tak tuż po Bożym Narodzeniu, jeszcze w 1945 roku, rodzina załadowała się do wagonu kolejowego. Zabrali wszystko, co mieli, także żywą kozę. Pociąg jechał wolno, dlatego Leon w Pile zostawił w nim rodzinę i w sylwestrową noc znalazł się w Chłopach. Rodzina dotarła do Będzina 12 stycznia 1946 roku. W marcu Leon i inni rybacy próbowali łowić. Znaleźli łódkę na wydmach, spuścili ją na wodę i chcieli popłynąć. Ale łódka była rozeschnięta i natychmiast zaczęła tonąć, rybacy wpadli do zimnej wody i uratowali się dzięki uchwyceniu falochronu. To był chrzest morski, a oni powoli uczyli się łowić w wodzie morskiej, co było zupełnie innym doświadczeniem niż rybactwo jeziorne. Za to ryb było pod dostatkiem. Leon woził je do Koszalina w koszach umocowanych do roweru. Do miasta szedł, a wracał jak na skrzydłach, bo zawsze rybę sprzedał. Kiedy otrzymali karty rybackie, było tam m.in. napisane, że w niedzielę, w godz. 10-16, ryb się nie łowi, bo one też mają wtedy odpoczynek. Łowiono zaś wszystkie oprócz... dorsza, długo nieuznawanego za rybę do jedzenia.

MIELEŃSKIE POCZĄTKI I POŻEGNANIA...

W lipcu 1946 rodzina Pietrzaków przeniosła się do Miela. Rybacy pokonywali nie tylko fale Bałtyku oraz sztormy, ale i przemiany gospodarcze, społeczne, polityczne. Nie odpuszczali i w końcu lat 50. na przystani w Unieściu stało prawie 20 łodzi (dzisiaj 5-6). To było największe skupisko rybaków plażowych

(bez portu ani basenu) na całym wybrzeżu Bałtyku. W latach 60. ub.w. zbudowano elektryczny wyciąg linowy, wykorzystując stojącą od czasów przedwojennych dalbę. Wreszcie przestano łodzi wyciągać z wody na brzeg siłami mięśni rybaków. Ale i tak wciąż potrzebne były każde ręce przy wybieraniu ryb z sieci, sortowaniu, patroszeniu.

Leon Pietrzak w 1982 roku skończył pływanie łódką, ale nadal był inspektorem Zrzeszenia Rybaków Morskich. Był także współwłaścicielem łodzi, na której pracowało jego trzech synów.

A w latach 80. ub. w. znów najstarszy rybak na przystani nosił nazwisko Pietrzak. To jeden z synów Leona – Bronisław, dziadek Tomasza. Jeszcze w 1973 roku razem z synami kupił kuter UNI-3. Niestety, nie zobaczymy go na przystani, zatonął kilkanaście lat i to niedaleko brzegu. – Wtedy zginął też jeden z wujków – mówi pan Tomasz wspominając to tragiczne wydarzenie.

Nim to się stało, na kutrze pracowali synowie Bronisława – Włodzimierz, Roman, Jerzy i Grzegorz.

KLAN SIĘ POWIĘKSZA

Była jeszcze córka – Bożena. Choć próbowała wybrać inny zawód, ostatecznie także pracowała przy rybach z ojcowskiego kutra. Mało tego, jej mężem został Henryk Polak, którego tak zauroczyło morze i zapach wiatru, ryb, sieci, że po skończeniu służby wojskowej pozostał na Wybrzeżu, nie wracając do swoich rodzinnych Bieszczad. I dołączył do klanu. Bronisław Pietrzak zmarł w 2007 r. Jego wnuk, a syn Bożeny Polak – Tomasz, wspomina go niemal każdego dnia. – Dziadek mnie nauczył wszystkiego, co potrafię zrobić przy rybie i w domu – mówi bez wahania. – A potrafię dużo, co nieraz przydało mi się w Irlandii.

Bo Tomasz należy do tych nielicznych przedstawicieli rodu mających za sobą epizod życia odległego od przystani, kutrów i ryb. – Od 15. roku życia pracowałem w sklepie i postanowiłem zostać handlowcem – opowiada. – Dlatego uczyłem się najpierw w koszalińskim technikum handlowym, potem zrobiłem licencjat na kierunku socjologia gospodarki. Miałem przez sześć lat hurtownię w Irlandii, przez dwa lata na lotnisku w Dublinie wynajmowałem auta. Tu przeszedłem szkołę negocjacji biznesowych, bo przy wynajmie auta sprzedawałem też inne związane



Bożena Polak, córka rybaka i mama Tomasza



Bożena Polak na kutrze ojca, Bronisława

z tym usługi. Języka angielskiego nauczyłem się w Irlandii, a na lotnisku wyszlifowałem, bo rozmawiać i porozumieć się trzeba było z ludźmi z całego świata.

POWRÓT DO KRAJU

W 2020 r. pan Tomasz wrócił do Unieścia, na przystań. Dlaczego? – Tam już nie ma takich wartości, jakie ja wyznaję - wyjaśnia. – W Polsce jeszcze pewne tradycje zachowaliśmy, zwłaszcza w kwestii stosunków międzyludzkich, rodzinnych, jeszcze liczy się ciężka praca i nie ma takiego konsumpcjonizmu. Akurat mama zaczęła startować z tym paprykarzem na sprzedaż, to postanowiłem, że pomogę. W lutym tego roku otworzyliśmy sklep na przystani. Sąsiedzi po latach nieobecności przyjęli mnie bez problemów. To i tak w większości bliższa lub dalsza rodzina. Jestem swój, który po prostu skądś wrócił. A latem, w sezonie, dla wszystkich klientów wystarczy.

I znów cała rodzina Pietrzaków pracuje przy rybach, bo brat Jacek też należy do tej branży – hoduje pstrągi. – Nadal prowadzimy wędzarnię, wędzimy wszystkie dostępne ryby – mówi pan Tomasz i wraca do opowieści o dziadku Bronisławie. – Dziadek nam wybrał zadania. Ja byłem takim jego zastępcą w domu, a brata, jako spokojniejszego, szkolił na hodowcę i wędzarsza przez 15 lat. Dziadek specjalizował się w wędzeniu łososia na zimno. I kiedy brat już samodzielnie wędził – nikt nie odróżniał jego ryby od dziadkowej. To znaczy, że dobrze go wyszkolił.



Tomasz Polak przy wędzarce



Bronisław Pietrzak w swojej wędzarni łososi



Bronisław Pietrzak na kutrze

PRODUKT RODZINNY Z BABCINEGO PRZEPISU

A dlaczego nie został, jak większość mężczyzn w rodzinie, rybakiem? – Formalnie nie jestem – przyznaje. – Nie mam uprawnień. Mogę nim zostać, jeśli poddam się procedurze. Najpierw ktoś – w moim przypadku wujek Piotr – musi wystawić „chęć zatrudnienia” mnie na kutrze jako młodszego rybaka, a potem trzeba przejść szkolenie, aktualnie odbywające się w Szczecinie.

Na razie głównym przetworem, jaki oferuje w swoim sklepie Tomasz Polak jest „Paprykarz córki rybaka”. Skąd pomysł? – Pomysłu nie trzeba było – zapewnia pan Tomek. – Mama i babcia od lat robiły w domu, na własne potrzeby, ten paprykarz. Co ciekawe, proporcje są na 130 słoików, każdy po 270 g produktu. Inaczej nie wychodzi. Teraz, kiedy sprzedajemy paprykarz, bywa, że te 130 słoików to za mało. Postanowiłem za jednym razem robić od razu więcej. Próbowałem po prostu podwoić przepis – dokładnie wszystkiego dwa razy więcej. I nie wyszło to samo. Trudno, robimy babcinymi porcjami. Czym się różni od słynnego paprykarza szczecińskiego? Przede wszystkim u nas jest czysta ryba. Sami je filetujemy i zostawiamy tylko mięso.

Dokładny przepis niech pozostanie tajemnicą jego producentów. Na etykiecie przeczytamy, że w składzie jest ryba, warzywa oraz ryż, który skleja wszystkie składniki. Przyprawy to sól i czerwona słodka papryka w proszku. Dodajmy, że słoiki są pasteryzowane, dlatego w przysmaku nie ma konserwantów, a w lodówce wytrzyma do 12 miesięcy. Czy w domu Pietrzaków wciąż się jada paprykarz? – Nadal jest naszą rodzinną potrawą – odpowiada Tomasz Polak. – A już jak mama upiecze chleb, to się zabijamy o pierwszą kromkę, czyli piętke, która musi być jedzona obowiązkowo z paprykarzem na wierzchu. I wtedy najlepiej smakuje.

Sklep jest czynny dopiero kilka i to pozasezonowych miesięcy.

Nadchodzący sezon będzie pierwszym na swoim, w rodzinnym sklepie. Czego i pan Tomasz, i rodzina oczekują?

– Paprykarz powodzenie ma ogromne – cieszy się nasz rozmówca. – Ludzie kupują po kilkanaście stoików, przychodzą ponownie. Albo specjalnie przyjeżdżają, bo zobaczyli nas na Facebooku.

Na przystani inni też zaczęli produkować paprykarz, zachęceni naszym powodzeniem. Myślę, że w tym pomysł na sklep i przetwory jest potencjał, co potwierdzają klienci, którzy nas natychmiast znaleźli. Potencjał jest także w naszej przystani, bo ludzie wracają do tradycyjnego, nieprzetworzonego jedzenia. Tu wiedzą i widzą, co jedzą.

Czy gorący orędownik paprykarza i rodzimego biznesu nie żałuje powrotu do tej ciężkiej i często ryzykownej pracy? Syn, wnuk i prawnuk rybaka mówi tak: „Pierwszego dnia, kiedy wszystko przygotowałem, otworzyłem drzwi, wyszedłem przed sklep i popatrzyłem na przystań, na morze, kutry, na ten spokój, to powiedziałem sobie: Tomek, jesteś na swoim miejscu, jesteś u siebie. Tu będziesz żył, mieszkał i pracował. Przecież ja tę przystań znam od dziecka. Tu latałem z kolegami po szkole, która była tuż obok. Tu nosiłem dla taty na kuter herbatę i gorący gulasz w słoiku czymś owiniętym”.

Spotkanie kończy jeszcze jedno wspomnienie dziadka Bronisława. – Po dziadku mam wiele – nie kryje pan Tomek. – Nie tylko jestem do niego fizycznie podobny, co mi mówi coraz więcej osób. Odziedziczyłem też jego słynny upór. Zawsze wszystko robił „po swojemu”. I nie mówił, że się nie da. Ja też tak nie mówię i wygrywam. Jestem przekonany, że mi się uda. Mam doświadczenie w handlu, w kontaktowaniu się z ludźmi. Poza tym mam dużo energii. Pracy się nie boję, bo od dziecka ciężko pracowałem. ■

BUTY NA KAŻDĄ OKAZJĘ

Uniwersalne obuwie, które chętnie noszą zarówno dzieci, nastolatki, jak i dorośli – również w wieku dojrzałym. Mężczyźni i kobiety. Oto właśnie trampki. Co istotne, pasują do wielu charakterów i stylizacji – m.in. sportowej, na rockowo, luzackiej, a nawet do spódnicy czy sukienki. Z pewnością każdy z nas miał w życiu przynajmniej jedną parę... i pewnie chętnie kupi kolejną.

Tekst: Alicja Tułnowska

Zdjęcie: Magda Pater

Na początku należy zaznaczyć, że trampki to nie to samo co tenisówki. Te pierwsze charakteryzuje gumowy czubek, te drugie – są wykonane w całości z jednego materiału.

Myśląc o trampkach, większość osób bez wahania wymieni markę Converse. I słusznie. Okazuje się bowiem, że to od nich wszystko się zaczęło. Pierwszą parę wyprodukowano w 1908 roku w Stanach Zjednoczonych, a ich producentem był Marquis M. Converse. Początkowo było to obuwie dla... koszykarzy. Popularność buty te zyskały dopiero po podpisaniu przez markę kontraktu z koszykarzem Charlesem „Chuckiem” H. Taylorem w 1923 roku.

EKSPANSJA

Co ciekawe, w Polsce obuwie tego typu pojawiło się na przełomie lat 20. i 30. XX wieku. Za ich produkcję odpowiadała firma Stomil. Wtedy też zaczęto używać nazwy „trampki”, co nawiązywało do wędrowca (buty te noszono podczas pieszych wędrówek).

W latach 40. i 50. XX wieku to trampki stały się także butami treningowymi w armii amerykańskiej, a żołnierze chętnie nosili je także po służbie. W tamtych czasach zaczęły się też pojawiać pierwsze kolorowe modele trampków – koszykarze zaczęli farbować je na kolory swoich drużyn.

W latach późniejszych trampki przestawały być typowym obuwem sportowym, przypadły do gustu zbuntowanej młodzieży. Chętnie nosili je m.in. hipisi czy punki, fani rocka. Promowały je także nawet gwiazdy muzyki.

Choć w latach 80. i 90. trampki były popularnym obuwem zamiennym w polskich szkołach. Występowały najczęściej w stonowanych kolorach i nie miały nic wspólnego z luksusem (kilkanaście złotych za parę). Obecnie to jednak modne i pożądane przez młodych obuwie, które chętnie noszą także poza szkołą.

COŚ DLA KAŻDEGO

Należy przyznać, że design trampków zdecydowanie ewoluował. Poza farbowanym materiałem na jednolite kolory, są też egzemplarze z nadrukami, a nawet cekinami. Także sznurówki, które kiedyś były tylko białe, można dzisiaj znaleźć w wielu odcieniach. Gdy ktoś ma dosyć klasycznej białej podeszwy, bez problemu znajdzie modele oferujące inne kolory. Jeśli nie lubi się typowych trampków przed kostkę, to można wybrać model za kostkę, do połowy łydki, na platformie czy nawet... w stylu balerin. Co więcej, z trampków nie trzeba rezygnować podczas chłodniejszych czy deszczowych dni. Przykładem mogą być tutaj skórzane modele.

Nie tylko jednak, znane z dość wysokich cen, conversy są charakterystyczną marką dla tego typu obuwia. W Polsce tzw. markowe modele tworzy np. Big Star, jednak także inne, mniej znane



firmy tworzą ciekawe, zróżnicowane wersje i to za znacznie niższą cenę. W związku z tym, czy warto kupować markowe trampki? Wszystko zależy od potrzeb i podejścia użytkownika. To, co można zauważyć, to wyższa jakość wykonania w butach czółowych marek – m.in. wygodna wkładka i wzmocnione pięty. Buty te zwykle są bardziej wytrzymałe na uszkodzenia (ale nie są niezniszczalne) i mają dłuższą gwarancję. Co więcej, opłaca się je zanieść do szewca w razie potrzeby, a ten jest w stanie (zwykle) je naprawić.

Nie brakuje również porządnie wykonanych tańszych modeli, jednakże trzeba mieć szczęście, aby na takie trafić, a poza tym często stanowią jedynie limitowany towar w danym sklepie i podlegają prawom sezonowej kolekcji. Inaczej jest w przypadku butów markowych – tu najpopularniejsze modele – zwykle klasyki – można kupić niemalże zawsze, gdy tylko poprzednia para się zużyje.

PRAKTYCZNE PODEJŚCIE

Za co można pokochać trampki? Za różnorodność i uniwersalność. Można je dopasować do wielu stylizacji. Odpowiedni model będzie pasować nawet do stroju półoficjalnego, chociaż niektóre gwiazdy, zwłaszcza muzycy, nie wahają się ich ubrać nawet na czerwony dywan i wyglądają świetnie. Choć raczej nie będą pasować do sukni wieczorowej, to mogą pozytywnie zaskoczyć w stylizacji miejskiej czy przy sportowej spódnicy albo w neutralnym, luźnym stylu. Najbezpieczniej nosić je jednak ze spodniami, zwłaszcza długimi – wtedy trudniej o niedobre zestawienie. Kochają z wzajemnością dzinsy – zarówno, proste, dzwony, jak i rurki. Spodniom z dziurami dodadzą buntowniczego pazura.

Co ciekawe, wiele z modeli pasuje zarówno do pań, jak i panów. Tak jak każda kobieta powinna mieć podobno w szafie czarne szpilki, tak w tym przypadku warto pokusić się o jakiegoś klasyka – zwykle klasyczne czarne lub białe trampki w dowolnym wariantach. Z pewnością ożywią niejedną ciekawą strój. ■

INSPIRUJĄCE KOBIECY

PONIEDZIAŁEK
22:25



KORCZAK



To zadziwiająca historia, do tego podwójnie – raz, bo sama w sobie jest niezwykła, a po drugie, że tak mało w Polsce znana. Ile osób słyszało cokolwiek o Korczaku Ziółkowskim – postaci tak nieprawdopodobnej, że musiała być prawdziwa, choć cała związana z nim historia mogłaby być rodem z sensacyjnej książki?

Tekst i zdjęcia: Robert Nawrocki

Był Amerykaninem, ale w trzecim pokoleniu – jego dziad, hrabia Ignacy Ziółkowski, wywędrował z Krakowa do Stanów Zjednoczonych w XIX wieku. Kilkadziesiąt lat później, 6 września 1908 roku, urodził się w Bostonie Korczak Ziółkowski. Kiedy miał trzy lata, jego rodzice zginęli w tragicznym wypadku podczas podróży promem do Nowego Jorku, więc chłopak znalazł się w przytułku dla katolickich sierot. Gdy podrośł, znalazł pracę w bostońskiej stoczni jako stolarz, gdzie powoli zaczął poznawać sekrety obróbki drewna. Odkrył w sobie zamiłowanie artystyczne i zaczął amatorsko rzeźbić. Z czasem jego talent został dostrzeżony przez Johna Kirchmayera, twórcę drewnianych rzeźb dla protestanckiej katedry Świętego Jana w Nowym Jorku.

Kirchmayer stał się dla Korczaka nie tylko mentorem, a wręcz drugim ojcem, gdy tylko dowiedział się, że ten prawdziwy nie żyje. Co więcej – zainteresował Korczaka jego własnym, polskim pochodzeniem, które ten zaczął entuzjastycznie badać. Zupełnie nie znał polskiego i nigdy nie poznał, ale nowo odkryta polska dusza mówiła do niego w sposób całkowicie zrozumiały.

Korczak w 1934 roku ożenił się z Dorotą Brewster Comstock, również polskiego pochodzenia, która w przeciwieństwie do

męża znakomicie mówiła po polsku. Oboje prowadzili dom „ostentacyjnie polski”, co w owym czasie niekiedy stwarzało pewne problemy ze społeczną akceptacją.

WYBITNY TWÓRCA

Korczak coraz częściej rzeźbi w kamieniu, przejawiając oczywisty talent i szybko zaczyna być zauważany. Jedna z jego rzeźb w 1939 roku została uznana za najlepsze dzieło wystawione na Targach Światowych w Nowym Jorku – było to popiersie Ignacego Paderewskiego, które nazwał „Studium Nieśmiertelnego”. To jedno dzieło wystarczyłoby, by przejść do historii. Paderewski przedstawiony został z zamkniętymi oczyma i wyrazem ogromnego skupienia. Wewnętrzne napięcie widoczne na jego twarzy wręcz od wewnątrz rozsada kamienną osnowę dzieła. Niewiarygodne, ile emocji i życia można było zawrzeć w martwym kamieniu.

Po dwóch latach Korczak tworzy monumentalny posąg Noah Webstera wysokości czterech metrów i wadze 19 ton. Tak powstała największa monolityczna rzeźba od czasu, kiedy we Florencji Michała Anioła stworzył posąg „Dawida”.



WRÓG KRYJE SIĘ W KAŻDYM

FOX WOJNA ŚWIATÓW

PREMIERA NOWEGO SEZONU
24 MAJA, PONIEDZIAŁEK 21:05

Wszystko wskazywało, że przed młodym rzeźbiarzem droga do kariery stoi otworem. Powoli rodzi się fascynacja monumentalnością, tak jakby ramy zwykłej pracowni rzeźbiarskiej więziły polską wenę Korczakowskiej fantazji. Lata 30. w USA to okres gospodarczego kryzysu. Aby dać Amerykanom pracę, rząd zgadza się sfinansować niezwyklej projekt rzeźbiarza duńskiego – Borgluma. Zaproponował on wyrzeźbienie w górze Rushmore, położonej w masywie Black Hills w Dakocie Południowej, czterech ogromnych głów prezydentów USA, ojców amerykańskiej demokracji: Waszyngtona, Jeffersona, Lincolna i Teodora Roosevelta. Korczak, zachwycony monumentalnością projektu, dołączył do ekipy Borgluma i szybko nauczył się precyzyjnie kształtować granitową skałę dynamitem. Ta umiejętność przydaje mu się także w następnym projekcie – już całkowicie autorskim.

NIEZWYKŁA WIĘŹ

Jeszcze podczas prac nad górą Rushmore Ziółkowski poznaje rodowitego mieszkańca tych gór – indiańskiego wodza Stojącego Niedźwiedzia, który pracował u Borgluma jako tłumacz przy kontaktach z innymi Indianami z plemienia Siuksów. Do tej pory Korczak widział tubylczych Indian jako folklor gór Black Hills – nie zwracał na nich specjalnej uwagi. Ale Stojący Niedźwiedź sam zwrócił się do niego i to z niebywałą

prośbą. Zaproponował Korczakowi wyrzeźbienie w górach posągu największego wodza Siuksów – Szalonego Konia (Crazy Horse). Nawet nie tyle zaproponował, co... zażądał! Korczak nigdy nie słyszał o Szalonym Koniu, zresztą jak prawie wszyscy Amerykanie nic nie wiedział o prawowitych i pierwszych właścicielach tej ziemi. Indianie stali się unikaniem wyrzutem amerykańskiego sumienia. Zostali w większości wymordowani, pozbawieni własnej ziemi, a ocalali z tej rzezi – zamknięci i upokarzani w rezerwach. Zresztą i dziś na ulicach USA łatwo spotkać nie tylko Polaka, ale i mieszkańca Litwy czy Islandii niż prawdziwego Indianina.

W owym czasie temat rdzennych mieszkańców był skrzętnie unikany, a już raz poruszony, budził tylko agresję białych. Gdy Korczak zapytał, dlaczego właśnie on, Stojący Niedźwiedź odparł, że już dawno wiedział, że ktoś taki przybędzie w te góry, aby oddać hołd największemu wodzowi Indian Szalonemu Koniovi, a dla Stojącego Niedźwiedzia ostatecznym znakiem losu był identyczny dzień urodzin Korczaka Ziółkowskiego i Szalonego Konia – 6 września.

ŻYCIOWA MISJA

Wódz zaprowadził Korczaka w góry i zaczął opowiadać o historii swego narodu, o cierpieniach, bezprzykładnej walce i bohaterstwie Szalonego Konia, który dwukrotnie pokonał armię





DC's **LEGENDS** OF TOMORROW

OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU O 20:00



TELEWIZJA
KABLOWA KOSZALIN
SPÓŁKA z o.o.

OGLĄDAJ NA KANALE 231

© 2016 Warner Bros. Entertainment, Inc.



Stanów Zjednoczonych. W miarę słyszanych historii Korczak zaczął widzieć analogię między narodami polskim i indiańskim, poczuł w sobie jakiś rodzący się ogień patriotyzmu spod znaku „Za waszą i naszą...”, coraz bardziej identyfikując się z nigdy wczesnej nie słyszanyimi historiami.

Życzeniem Stojącego Niedźwiedzia, które przekazał Korczakowi, było, by biali dowiedzieli się, że nie tylko oni mają swoich bohaterów i że nie tylko tamtym ze skały Rushmore należy się szacunek i pamięć. Korczak zgodził się na wykonanie pomnika i postanowił, że nie będzie byle jaki, ale taki z prawdziwie polską fantazją – największy na świecie! Początkowa idea stała się obsesją, sensem i celem życia rzeźbiarza. Młody

artysta z ogromnym talentem i niesamowitymi możliwościami zaistnienia na rynku intratnych zamówień na pomniki czy popiersia milionerów, postanowił rzucić się z motyką na słońce. Niedaleko Rushmore zakupił całą górę, aby wykuć z niej największy posąg, jaki znała historia i współczesność – postać Szalonego Konia pędzącego na rumaku o wysokości 170 metrów, wyższa niż egipskie piramidy i potężniejsza niż Rushmore czy nowojorska Statua Wolności. Dla Korczaka „niemożliwe” stało się dopiero początkiem drogi. Co więcej, postanowił, że góra powstanie jego własnym staraniem. Że nie weźmie ani centa od amerykańskiego rządu, który przecież wcześniej dokonał zagłady Indian.



Niedaleko zakupionej góry artysta wybudował dom z pracownią, sprowadził do niego swoją słynną głowę Paderewskiego, aby czasem spojrzeć na drogę, z której dobrowolnie zrezygnował. Wiedział, że nie dożyje ukończenia rzeźby – skała była zbyt przytłaczająca, na parę generacji. Jego żona, słysząc o tej decyzji, w 1949 r. zabrała córkę i odeszła. Korczak rok później poślubił Ruth Ross, twardą jak okoliczne góry dziewczynę niemieckiego pochodzenia, która urodziła mu dziesięcioro dzieci. Wiedziela, w co wchodzi, Korczak lojalnie uprzedził ją o swoich pryncypiach – zgodziła się. Może pokochała szalonego Polaka, a może chciała być częścią rodzącej się legendy?

Korczak koło domu urządził muzeum Siuksów, aby zachę-

cić turystów do odwiedzania tego oddalonego miejsca. Musiał przecież z czegoś nie tylko utrzymać rodzinę, ale i sfinansować budowę pomnika. Koło muzeum ustawił model pomnika w skali 1:34, aby odwiedzający wiedzieli, jaki ma być efekt końcowy, ponieważ przez kilkadziesiąt lat rzeźbiona wybuchami góra nie pokaże rozpoznawalnego kształtu. Miliony ton skały musi zostać usunięte, aby uwolniony ze skały Szalony Koń mógł jeszcze raz pomknąć przez pamięć przyszłych pokoleń.

Korczak Ziółkowski zmarł w 1982 roku i na własne życzenie został pochowany w krypcie pod górą, którą kilkadziesiąt lat rzeźbił dynamitem. Prace kontynuują jego synowie i córki. Data zakończenia prac jest nieznana. ■

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA...

Kowańcz – niewielka wieś tuż za Karlinem. W latach świetności, jak mówią mieszkańcy, liczyła nawet 500 osób, teraz zamieszkuje to miejsce niecałe 200. Niewiele, może właśnie dlatego społeczność jest żyta. I chce zrobić coś dla wszystkich.

Tekst: Joanna Wyrzykowska

Zdjęcia: Magda Pater

I faktycznie, otwartość mieszkańców jest szczerą, widzimy to, kiedy podjeżdżamy samochodem. Zanim podejda do nas umówieni wcześniej rozmówcy, wita nas młody chłopak, życzliwie pytając, czego szukamy. Z radością, że ktoś interesuje się ich pracą, pokazuje dawny cmentarz, opowiada, co usłyszał od dziadka i ojca, zaznacza, że co roku 1 listopada w tym miejscu płoną znicze. Przyszłość wiąże ze swoją wsią, z dumą opowiada, że gospodarkę przejmie po ojcu. Właśnie kończy szkołę rolniczą, wiadomo, pandemia, więc uczy się przez internet. Tu jest jego miejsce, dlatego włączył się w prace na cmentarzu, posadowionym tuż przy jego domu.

W sobotnie kwietniowe przedpołudnie w miejscu dawnego cmentarza stało się ponad 30 osób. Młodszy i starsi, działacze społeczni, przedstawiciele gminnych władz i zwykli mieszkańcy. Wspólnie rozpoczęli porządkowanie miejsca, które przez lata było zapomniane. – Ja pamiętam, jak był tu cmentarz – opowiada pan Andrzej, mieszkający nieopodal. – Cały ogrodzony żeliwnym płotem. O... proszę, nawet znalazłem taki fragment. Pan Andrzej prezentuje żeliwną żerdź w kształcie krzyża, faktycznie, z takich zbudowane było ogrodzenie. – Jeden z kolegów to się kiedyś nawet nadział, jak przechodził przez płot – wspomina Jądwiaga Suska, która aktywnie działa w Kole Gospodyń Wiejskich. Ona też pamięta groby, które w latach 70. przeniesiono na cmentarz w Karlinie. – Niemieckich grobów tu było sporo, ale były też polskie – wspomina. Skąd pomysł? – Z potrzeby serca. To będzie świadczyć o nas. Dbamy o to, żeby przeszłość nie odeszła w zapomnienie, chcemy, żeby to, co robimy, poszło w świat – mówi



pani Barbara Ankiewicz. I pewnie pójdzie, bo media społecznościowe granic nie mają i o akcji dowiedzieli się już i w Niemczech, i w Stanach, i w Rosji. – My, mieszkańcy, pochodzimy z różnych stron. Groby naszych przodków są rozmieszczone w wielu miejscach kraju, jeśli my będziemy dbali o groby tych, którzy żyli tutaj, możemy mieć nadzieję, że o naszych przodkach nie zapomną inni – ma nadzieję pani Barbara.

Koło Gospodyń Wiejskich pod wdzięczną nazwą „Sikoreczki” działa dopiero od 2017 roku. Barbara Ankiewicz, przewodnicząca koła, jest jedną z twórczyń projektu, który otrzymał 16 tysięcy złotych dotacji z Lokalnej Grupy Działania „Siła w Grupie”. – Pomysłodawcą był mój mąż Mariusz, ale za robotę wzięliśmy się my – mówi i podkreśla, że stworzenie lapidarium w miejscu dawnego cmentarza połączyło mieszkańców. – Nie patrzymy na poglądy, chcemy zrobić coś dobrego dla wsi – opowiada organizatorka. – W ten projekt włączyła się pani sołtys Emilia Wołoszyn, nie jest tajemnicą, że nie głosowałam na nią w wyborach sołdeckich, ale to nieważne, bo potrafimy znakomicie działać razem na rzecz naszej wsi. Po prostu kochamy to miejsce – śmieje się.

Co się zmieni? Będzie specjalna kwatera z fragmentami nagrobków, które zostały na dawnym cmentarzu, będą pamiątkowe tablice w trzech językach, i – co ważne – uhonorowani zostaną niemi świadkowie historii. – To drzewa, które tu stoją. Najstarsze z nich, cis, ma około 200 lat. Chcemy dzięki pomocy leśników opowiedzieć o nich, przy każdym niemy świadku historii znajdują się informacje botaniczne.

Przybyłych powita epitafium: „Pamięć nie umiera o ludziach minionej epoki. Każdy człowiek, nawet najskromniejszy, zostawia ślad po sobie. Ich życie zahacza o przeszłość i sięga w przyszłość”.

Otwarcie lapidarium zaplanowano na 28 września, w Dzień Rolnika. Wiadomo już, że przyjadą goście z zaprzyjaźnionych z Karlinem niemieckich miast partnerskich – Wolgast i Dargun. A że przedsięwzięciu mieszkańców Kowańcza sprzyjają także karlińskie władze, burmistrz Waldemar Miśko obiecał im, że dostaną materiały na budowę lapidarium. Oczywiście, przydaliby się sponsorzy, na ich hojność także liczą chcący ocalić od zapomnienia przeszłość tego miejsca.

Mieszkańcy już się zarzekają, że nie powiedzieli ostatniego słowa, w planach mają kolejne projekty, a we wsi już służą te, stworzone wcześniej. W Kowańcu jest więc jak u Pana Boga za piecem. Tylko pozazdrościć. ■



TAK POWSTAWAŁA KOSZALIŃSKA „SAMOCHODÓWKA”

Wtym zawodzie trzeba lubić smar, wysiłek i mieć zdolności manualne. Mowa tu o profesji mechanika samochodowego, a nauczenie się tego fachu było i jest możliwe tylko w jednym miejscu. Zespół Szkół nr 10 im. Bolesława Chrobrego w Koszalinie to placówka znana bardziej jako „samochodówka”. Jej historia rozpoczyna się 1 października 1958 r., a więc ponad 60 lat temu, kiedy to powołano Wydział Samochodowy dla pracujących w ramach Technikum Budowlanego w Koszalinie.

Tekst: Tomasz Wojciechowski

Zdjęcia: Magda Pater, archiwum szkoły

Wydział Samochodowy podlegał wówczas dyrekcji Technikum Budowlanego, którym kierowała Jadwiga Oborska. Szkoła nie dysponowała własnym lokalem, a pierwsze zajęcia, dzięki uprzejmości ówczesnego dyrektora PKS Zbigniewa Wróblewskiego, odbywały się w budynkach firmy przy ulicy Zwycięstwa 6. Podczas pierwszego naboru uczyło się 80 uczniów w różnym wieku, których podzielono na klasy pierwszą i drugą. Po czteroletniej nauce w szkole to oni jako pierwsi przystąpili do matury.

Niebawem, zarządzeniem ministra oświaty z 1959 r. została powołana samodzielna placówka oświatowa, czyli Technikum Samochodowe dla Pracujących. Zaledwie rok później powstało dzienne Technikum Samochodowe oraz Szkoła Zawodowa. Dyrektorem został Ryszard Degórski, a zajęcia odbywały się w części pomieszczeń Technikum Budowlanego przy ulicy Jedności 9. Szkoła nie miała własnej bazy warsztatowej, dlatego praktyczna nauka zawodu odbywała się w zakładach państwowych.

MIEJSCE DO NAUKI I ROZWOJU

Rozwój motoryzacji sprzyjał zainteresowaniu zawodem kierowcy i mechanika. Na przełomie lat 1961 i 1962 powołano oddział Technikum Mechanicznego dla pracujących, gdzie kształcono mechaników oraz mechaników-kierowców. Utworzono też Zasadniczą Szkołę Dookształcającą dla pracowników PKS w systemie wieczorowym.

– Gdy powstał Zespół Szkół Zawodowych nr 2 w Koszalinie, jego dyrektorem wybrano Stanisława Kocura. Przy ulicy Mazur-

skiej powstał wreszcie nowoczesny gmach naszej szkoły. Pierwsze zajęcia odbyły się w nim 1 lutego 1965 roku – opowiada Piotr Sklenarski, nauczyciel. – W tymże roku stanowisko dyrektora objął Janusz Wasiak i kierował placówką aż do 1998 r. Dla nas był to człowiek legenda.

W 1967 roku nadano szkole imię Bolesława Chrobrego. Największym wydarzeniem tego okresu była ogólnopolska inauguracja roku szkolnego w 1968 r., w której uczestniczył ówczesny minister oświaty Henryk Jabłoński.

Z „samochodówką” wiążą się pewne ciekawostki. Szkoła miała jeden z najnowocześniejszych torów kartingowych w Polsce oraz prężnie działające Koło Kartingowe. Z kartami wiąże się też opowieść o tym, jak w warsztatach szkolnych rozpoczęto produkcję, jak się później okazało jednego z najbardziej rozpoznawanego i znanego Karta KP-2. Pojazd ten rozślawił szkołę w świecie sportów motorowych. Już w latach 70. został opracowany i powstał kart o napędzie elektrycznym.

Wtedy też warsztaty otrzymały świadectwo autoryzacji, przeglądów i napraw gwarancyjnych samochodów Fiat 126p.

Schyłek lat 60 i lata 70. to rozkwit szkoły. – W tym okresie w Koszalinie praktycznie liczyły się trzy szkoły: LO im. Dubois, „samochodówka” oraz „budowlanka”. Organizowane były egzaminy wstępne i przyjmowano najlepszych. Wysoki poziom gwarantował dobre przygotowanie do podjęcia studiów. Wielu naszych absolwentów trafiało do politechnik i wyższych szkół inżynierskich oraz do uczelni humanistycznych, jak i semina-

**„PAMIĘĆ NIE UMIERA
O LUDZIACH MINIONEJ EPOKI.
KAŻDY CZŁOWIEK, NAWET
NAJSKROMNIEJSZY, ZOSTAWIA
ŚLAD PO SOBIE. ICH ŻYCIE
ZAHACZA O PRZESZŁOŚĆ
I SIĘGA W PRZYSZŁOŚĆ”**





riów. Taka ciekawostka, mamy kilku księży wśród absolwentów – tłumaczy Piotr Sklenarski.

Życie szkoły to nie tylko nauka. Funkcjonowała m.in. orkiestra dęta, zespół teatralny, koło turystyczno-krajoznawcze, taneczne, fotograficzne, żeglarskie, recytatorskie, kartingowe, pływonurków, Dyskusyjny Klub Filmowy oraz zespół młodzieżowy „Ok-tany”.

Z kolei lata 80. i 90. to okres modernizacji. Jak wspominają osoby związane z „samochodówką”, rozwinięto bazę dydaktyczną. Unowocześniono m.in. pracownie komputerowe, a nawet na dachu internatu powstało obserwatorium astronomiczne! – Jak wiemy, w 2002 r. po reformie oświaty wprowadzono licea profilowane. I w tym właśnie roku osiągnęliśmy ogromny sukces w ogólnopolskiej olimpiadzie techniki samochodowej. Nasi uczniowie zdobyli tytuł Samochodowej Szkoły Roku – opowiada Piotr Sklenarski.

SZKOŁA SIĘ ROZWIJA, CZYLI PRACOWNIK POSZUKIWANY

Od 16 lat działa przy placówce Szkolny Ośrodek Karier, pomagając uczniom w rozwoju i ustaleniu ścieżki zawodowej. – W 2019 r. w naszej szkole odbyła się Ogólnopolska Konferencja Szkół Samochodowych: „Przyszłość motoryzacji – inteligentne specjalizacje w kształceniu zawodowym” – opowiada Tomasz Lampkowski, obecny dyrektor Zespołu Szkół nr 10 im. Bolesława Chrobrego w Koszalinie. – Zespół Szkół nr 10 dziś to placówka pedagogiczna o wysokich standardach nauczania i wieloletnich tradycjach w naszym mieście. Absolwenci są poszukiwanymi pracownikami wysokiej klasy na obecnym rynku pracy.

Zatem czego mogą się nauczyć w szkole pasjonaci motoryzacji? – Na przykład w zawodzie technik pojazdów samocho-

wych absolwent Technikum Samochodowego przygotowany jest do diagnozowania stanu technicznego pojazdów samochodowych, obsługiwania i naprawy samochodów, organizowania i nadzorowania obsługi pojazdów samochodowych. Program obejmuje także zajęcia z języka obcego zawodowego – wyjaśnia dyrektor Lampkowski.

W szkole można nauczyć się też zawodu technik mechanik oraz technik spedytor. Ten ostatni kierunek dotyczy planowania i organizowania prac związanych z przewozem ładunków, prowadzenia dokumentacji związanej z transportem i rozliczeniami, monitorowania przebiegu procesu transportu. Co ciekawe, to kierunek godny polecenia także dla dziewcząt!

Ofertę uzupełniają jeszcze Branżowa Szkoła I stopnia w zawodach mechanik pojazdów samochodowych oraz elektromechanik pojazdów samochodowych i blacharz samochodowy. – Szkoła ma nowoczesne zaplecze dydaktyczne. Dzięki projektom wyposażono pracownie informatyczne w nowy sprzęt i oprogramowanie. Wyremontowano warsztaty i zmodernizowano pracownie spawalnictwa i blacharstwa. Pracownia Kształcenia Praktycznego i pracownie zawodowe są wyposażone w nowoczesny sprzęt odzwierciedlający rzeczywiste warunki pracy w nauczanych zawodach. Sprzęt pomiarowy znajdujący się w pracowniach umożliwia diagnostykę i regulację silników pojazdów samochodowych, zawieszenia oraz geometrii kół w systemie 3D. Szkoła dba o środowisko naturalne – opowiada dyrektor Lampkowski.

* * *

Zespół Szkół nr 10 to miejsce, gdzie historia łączy się ze współczesnością. Dla wielu absolwentów szkoły „samochodówka” była nie tylko miejscem nauki, ale poznaniem arkanów zawodu, w którym przepracowało się nierzadko całe życie. ■

NIEUCZCIWE PRAKTYKI SPRZEDAŻOWE

Specjaliści rynku moto twierdzą, że czeka nas zalew ofert sprzedaży używanych samochodów z napędem spalinowym. W bogatszych krajach Europy kierowcy przesiadają się coraz częściej do aut hybrydowych i elektrycznych. Skoro większa podaż pojazdów używanych, to i możliwy wzrost oszustw. Na co uważać przy kupnie „niebitego, z małym przebiegiem i w dobrym stanie”?

Tekst: Radosław Czerwiński

Zdjęcie: Magda Pater

Platformą zajmującą się sprawdzaniem VIN przed zakupem i sprzedażą auta, czyli weryfikacją historii używanych samochodów jest carVertical. Na niej przeanalizowano ponad milion przypadków, dzięki czemu ustalono, w jaki sposób sprzedawcy aut oszukują najczęściej. Oprócz Polski na liście znalazło się 20 innych, europejskich miast. Dzięki temu powstała ogromna baza historii pojazdów. Po analizie przedstawiono pięć najczęściej stosowanych sposobów oszukiwania na przestrzeni ostatniego roku. Podano również, na co zwracać uwagę przy kupnie auta, które trochę kilometrów już zrobiło.

PO WYPADKU

Na pierwszym miejscu niechlubnej listy oszustw sprzedażowych są samochody naprawiane po uszkodzeniu, gdzie sprzedający próbuje przekonać kupującego, że samochód, którym jest zainteresowany nigdy nie brał udziału w jakiegokolwiek kolizji. Najczęściej tego typu oszustwa mają miejsce w miastach, gdzie natężenie ruchu prowokuje sytuacje, w których o stłuczkę nie trudno. W tym przypadku pozostaje pomoc profesjonalisty, który dokona oględzin podwozia i karoserii.

SFAŁSZOWANY PRZEBIEG

Miejsce drugie zajmują cofanie liczników. Okazuje się, że ich „kręcenie” to nie tylko polska specjalność, a w niektórych krajach jest to czynność całkowicie legalna. Udowodnienie, że auto przejechało o wiele mniej niż w rzeczywistości, podnosi atrakcyjność pojazdu. Zazwyczaj o tym, że to, co pokazuje drogomierz, a jak w rzeczywistości wygląda samochód, którym się interesujemy przekonujemy się bardzo szybko. Wystarczy porównać wskazania licznika ze stanem zużycia pojazdu. Gorzej,

jeśli nieuczciwy sprzedawca podda samochód tzw. detailingowi. Wtedy wygląd pojazdu plus wskazania drogomierza na pierwszy rzut oka mogą się, w naszym mniemaniu zgadzać.

SAMOCZÓD Z KRADZIEŻY

Na trzecim miejscu są próby sprzedaży aut kradzionych. Dzięki możliwości sprawdzenia historii pojazdu takie oszustwa zdarzają się coraz rzadziej, choć nie brakuje nieświadomych klientów, którzy zapłacili za samochody podstępnie zabrane innym właścicielom. Nowy posiadacz, w przypadku wykrycia przestępstwa traci nabytek i raczej nie może już liczyć na odzyskanie pieniędzy.

PRZEBRANŻAWIANIE... POJAZDU

Numer cztery to „wciskanie” taksówek, aut do przewozów zarobkowych bądź z wypożyczalni jako „zwykłych samochodów używanych”. Te pojazdy zazwyczaj charakteryzują się dużym zużyciem i ogromnym przebiegiem oraz noszą ślady serwisowania w najtańszy sposób. Jeśli nie chcemy zostać oszukani w ten sposób, to zwróćmy uwagę na wersję wyposażenia, silnikową czy też kolor i stopień zużycia lakieru.

NIETYPOWE OKAZJE

Na piątym miejscu jest próba sprzedaży samochodu za „śmiesznie

małe pieniądze”. Zdarzają się klienci, którzy nawet porównując cenę danego modelu, sprawdzając datę jego produkcji dają się złapać w pułapkę kupna okazynego. W takich przypadkach nowi właściciele samochodów nabytych za podejrzenie niską cenę dość szybko przekonują się, że wydali pieniądze na samochód z ukrytymi wadami, w złym stanie technicznym. ■



PODANO NA TACY

z *Lisa Vanderpump*



TELEWIZJA
KABLOWA KOSZALIN
SPÓŁKA Z O.O.

NA KANALE 92

**KONTYNUACJA
W NIEDZIELE O 22:00**



LATO TEGO ROKU

Lekki obiad sprawdza się szczególnie latem, możemy wtedy śmiało korzystać z sezonowych warzyw. Kolory na talerzu cieszą nasze oczy. Tym razem rezygnujemy z mięsa. Zamiast tego możemy zadowolić nasze kubki smakowe szparagami, oliwą truflową, sadzonym jajkiem, cukrowym gorszkiem czy młodą marchewką. Czy potrzeba nam czegoś więcej? Tym razem szef kuchni Marcin Wolny przygotował dla Was na przystawkę blanszowane szparagi na maśle z sosem bernaise z oliwą truflową i jajkiem. Na obiad wiosenne warzywa stir-fry ze świeżym chrzanem, miodem i cytryną. Danie przygotowane techniką mieszaj i smaź. A na deser ciastko orzechowe z daktylami ze słonym sosem toffi.



BLANSZOWANE SZPARAGI NA MAŚLE Z SOSEM BERNAISE Z OLIWĄ TRUFLOWĄ I JAJKIEM SADZONYM (3 OSOBY)

Składniki:

szparagi (pęczek) – ok. 400 g
jajka – 3 szt.
masło (do smażenia jajka)
ząbek czosnku
odrobina twardego sera dojrzewającego (świetnie sprawdzi się bursztyn lub grana padano)

Sposób przygotowania:

Szparagi zblanszować w osolonej wodzie około 30 sekund w zależności od grubości, a później zahartować je w zimnej wodzie. Smażyć na dużej ilości masła z zębkiem czosnku, odrobiną soli i cukru. Powinny być delikatnie zarumienione. Później na tej samej patelni smażyjemy sadzone jajko, które wymaga tylko odrobiny soli.

Sos berneński z oliwą truflową

Składniki:

żółtka – 4 szt.
masło klarowane – 200 g
białe wino – 150 ml
ząbek czosnku
szalotka – 1 szt.
świeży estragon (opcjonalnie)
estragon suszony lub świeży – 1 łyżka
odrobina oliwy truflowej
sól, cukier i świeżo mielony pieprz – do smaku

Sposób przygotowania:

Do rondelka wlać białe wino, wrzucić obraną i pokrojoną w plastry szalotkę, rozgnieciony ząbek czosnku i estragon. Zagotować i od razu odstawić na bok, żeby wino nabrało aroma-



tu estragonu. Żółtka najlepiej wybić na patelnię (żadne kąpiele wodne itp.). Następnie zalać ostudzonym białym winem i od razu doprawić do smaku, używając sporo cukru, żeby przebić się przez kwaśność wina. Później na małym ogniu delikatnie i stopniowo podgrzewać, cały czas mieszając do momentu aż w sosie pojawią się duże bomble powietrza, przez minutę przytrzymać jeszcze go na gazie, stale mieszając. Następnie zdjąć z ognia i powoli wlewając rozpuszczone klarowane masło, energicznie mieszać. Na koniec dodać odrobinę oliwy truflowej i opcjonalnie – świeży estragon. Szparagi ułożyć na talerzu, połączyć obficie sosem, ułożyć jajko i posypać serem.

WIOSENNE WARZYWA STIR-FRY ZE ŚWIEŻYM CHRZANEM, MIODEM I CYTRYNĄ (2 OSOBY)

Składniki:

grošek cukrowy – 100 g
 jarmuż – 100 g
 młoda marchew – 100 g
 cebula dymka – jeden pęczek
 por (sama dolna część) – ok. 100 g
 cebula czerwona – 1 szt.
 świeży chrzan – ok. 20 g
 cytryna – 1 szt.
 masło – 50 g
 miód (najlepiej gryczany) – 1 solidna łyżka
 olej (do smażenia)
 sól, cukier – do smaku

Sposób przygotowania:

Cytrynę sparzyć, warzywa umyć, cebulę obrać i pokroić w pióra, por pokroić w plastry, dymkę przesiekać na grube kawałki, marchew pokroić w cienkie plastry.

Patelnię mocno nagrzewamy (wszystkie warzywa będą smażone na jednej patelni, więc warto wybrać tę najszerszą). Smażenie zaczynamy od najtwardszych warzyw, w tym wypadku od marchewki, później dorzucamy por, cebulę, groszek cukrowy i na końcu jarmuż, dodajemy łyżkę miodu, sól, cukier i masło, skórkę startą z jednej cytryny, sok z jednej połówki i już po zestawieniu patelni z ognia – świeżo tarty chrzan. Z soków z warzyw, soku z cytryny i miodu zrobi się lekki i intensywny słodko-kwaśno-ostry sos.



CIASTKO ORZECHOWE Z DAKTYLAMI I SŁONYM SOSEM TOFFI (OK. 10 BABECZEK)

Ciastko

Składniki:

daktyle – 250 g
 mleko – 200 ml
 mąka pszenna – 325 g
 masło – 80 g
 jajka – 2 szt.
 kakao – 1 łyżka
 sparzone i potłuczone orzechy włoskie – ok. 60 g
 potłuczone orzeszki ziemne niesolone – ok. 60 g
 proszek do pieczenia – 6 g
 szczypta soli

Słony sos toffi

Składniki:

śmietana 36% – 250 ml
 masło – 200 g
 cukier brązowy – 350 g
 szczypta soli

Sposób przygotowania:

Masło utrzeć z cukrem, dodać pojedynczo jajka, a następnie mleko, mąkę, proszek do pieczenia, szczyptę soli, posiekane daktyle,



orzechy i kakao. Całość połączyć w jednolitą masę, przelać do foremek na 3/4 wysokości i wypiekać około 25 minut w 180 stopniach.

Wszystkie składniki sosu włożyć do garnka i powoli podgrzewać, nie mieszać jedynie, co jakiś czas potrząsnąć garnkiem, sos będzie gotowy, gdy nabierze jednolitego i karmelowego koloru. Ciastko podawać najlepiej na ciepło, oprószone cukrem pudrem, obficie polane sosem toffi i z gałką lodów śmietankowych.

Z szefem kuchni gotowała **Magdalena Wojtaszek**
 Zdjęcia: **Magda Pater**



PORADNIK BYCIA SUPER

Wszelkie publikacje, zatytułowane „Jak...” budzą we mnie od dawien dawna sprzeciw. Totalny. Takich książek po prostu nie kupuję, bo nie wierzę, że z zadrukowanego papieru można nauczyć się: jak świetnie gotować, jak zarabiać pieniądze, jak pisać książki czy jak wychować szczęśliwe dziecko. Tego po prostu musi nauczyć nas życie.

Klaudia Pingot, autorka „Specbabki”, ujęła mnie samym tytułem. Bo która z nas, kobiet, nie chciałaby być specbabką! Brzmi jakoś tak radośnie, wolnościowo, zachęcająco. I faktycznie potrafi zachęcić do przemyśleń, mimo że z ciasnym drukiem i grafikami nieco hmmm... amatorskimi może – odwrotnie – zniechęcać. Ale dla chcącego nic trudnego i jeśli przełknemy te edytorskie niedociągnięcia, możemy trochę pobawić się w ulepszenie swojego życia.

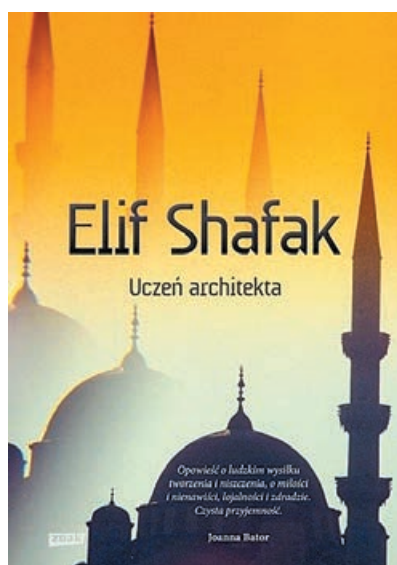
Autorka rozprawia się z wieloma mitami, dotyczącymi kobiet, kobiecości i roli kobiety w życiu. Opowieści z życia wzięte mają pokazać Czytelniczkom, że inni też czasem mają gorzej, a elementy testowe – skłonić do działania. Przyznam, że nieco oszukiwałam, bo testów zrobić mi się nie chciało, bardziej skupiałam się na samej treści.

Po co kobietom taka książka? Jak mówi autorka: żeby życia nie spędzić byle jak, bo jest za krótkie. Wiadomo, że kowalem swojego losu z reguły jesteśmy tylko częściowo, nieraz o przyszłości decyduje po prostu przypadek, zrządzenie losu, jakiś ciąg zdarzeń. I ani się obejrzymy, a życie fru! I jest za nami. Zanim więc nasz czas się skończy, warto powalczyć o to, żeby spędzić go zgodnie z samą sobą. I do tego namawia autorka, która sama doświadczyła nagłej niezgody na to, jak jej się życie układa. Klaudia Pingot to postać nietuzinkowa. Dość powiedzieć, że pewnego dnia robiąca karierę w służbach mundurowych ambitna i niezależna kobieta, idąc do pracy, zapragnęła, żeby... potrafił ją samochód. Myśl była zaskakująca i na tyle niespodziewana, że zaczęła zastanawiać się nad jej źródłem. I odkryła, że chciałaby żyć zupełnie innym życiem (choć to udanie sobie sama zaprojektowała). Skończyła psychologię, zaczęła zgłębiać ludzką naturę i próbować łączyć mistykę z nauką. A to wszystko, żeby przekonać się, jak dalece możemy wpłynąć na rzeczywistość, jeśli nauczymy się odpowiednio nią kierować.

Coś w tym jest, skoro tą drogą idzie wielu zwolenników teorii i praktyki Klaudii Pingot. W mediach społecznościowych ma wielotysięczną grupę wrażliwców, którzy praktykują jej ideę, chętnie dzielą się własnym doświadczeniem i sięją dobro. Bo, niczym w prawdziwej bajce, w tym świecie dobro zwycięża.

Brakuje nam teraz otuchy, pozytywnych wibracji i poczucia bezpieczeństwa. Takiego plastra na skołataną pandemią i niepewnością jutra duszę. Wydaje się, że autorka ma ambicję takim plastrem się stać. Czy to kolejna samozwańcza zbawczyni ludzkości, głosząca znane prawdy, ubrane jedynie sprytnie w nowe, łatwo przyswajalne szaty słów i przekonań? Być może, a może po prostu dobra wróżka, która ukoi lęk, niepewność i przekona, że warto odnaleźć w sobie siebie? Choćby po to, żeby – gdy życie przeleci przed oczami – z satysfakcją szepnąć, że było warto...

Joanna Wyrzykowska



OPOWIEŚĆ UCZNIĄ O MISTRZU

Tytułowy architekt to postać autentyczna, jego uczeń – tylko hipotetyczna, lecz możliwa. Mistrz to Hoca Miramar, zwany Sinanem, uczeń zaś jest kornakiem, opiekunem słonia Czhorta. A wszyscy żyją w Stambule, w pałacu Topkapi w czasach osmańskich, czyli w XVI w.

Stolicą dzisiejszej Turcji jest Ankara. Jednak to właśnie Stambuł jest niemal synonimem Turcji i jej historii. Wtedy, w czasach genialnego architekta to była stolica nie tylko państwa, ale i sporej części świata. Ktokolwiek był tam chociaż przez chwilę – nie mógł nie usłyszeć o Sinanie. Był architektem trzech sułtanów i projektantem oraz budowniczym ponad 400 budowli, nie tylko w Stambule zresztą. Budował wszystko – meczety, akwedukty, szkoły, łaźnie, mosty... Pochodził z rodziny Greków lub Ormian, za młodu porwany i szkolony na janczara. Takie to czasy. Jak na swoje czasy był fenomenem, bowiem żył aż 99 lat. A przecież na dworach osmańskich chwila niełaski sułtana zazwyczaj kończyła się śmiercią.

O Sinanie opowiada Dżahan, chłopiec znikąd. Swoje życie dzieli między zasadniczą pracę, czyli opiekę nad słoniem oraz doskonalenie się w sztuce architektury. Jak to zwykle u tej autorki – nie brakuje elementów baśniowych, dywagowania na różne tematy, a także niespodzianek. Wszyscy bohaterowie są nadzwyczaj refleksyjni, toteż dowiadujemy się sporo o mentalności ówczesnych Turków, ich zwyczajach, wierzeniach w moce nadzwyczajne, które kierowały ich każdym elementem życia, ale też świetnie nadawały się do tłumaczenia niepowodzeń. Barwny, potoczny język Elif Shafak sprawia, że z każdą stroną zagłębiajmy się w ulice Stambułu, poddajemy się jego klimatowi, chłoniemy smaki i zapachy potraw. Dotyczy

to zwłaszcza tych, którzy cokolwiek poznali miasto, którzy zdają sobie sprawę z ogromu meczetu Sulejmana i dominującej nad miastem wieży Galata, a także roli Bosforu, traktowanego niemal jak żywa istota. Tak, Stambuł należy dopisać do listy bohaterów tej powieści.

Dżahan, ów zdolny kornak, jest tu stworzony, by opowiedzieć Czytelnikowi o swoim mistrzu. Podziwia go od pierwszej chwili do końca wieloletniej współpracy a przedtem terminowania. Jaki Sinan się z tej opowieści wyłania? Przede wszystkim – człek to pracowity, szybko podejmujący decyzje. Nie jest specjalnie wytrawnym negocjatorem, ale zawsze udaje mu się wyjść z najgorszych opresji, które czyhają na każdym kroku w tym świecie intryg, podejrzeń i pochlebców. Architekt jest ponadto opanowany żądzą... budowania. Nie odmawia żadnego zlecenia, nawet na najmarniejszy budynek szkoły czy łaźni. Ba, niespecjalnie mu żal rozbierać swoją budowlę, bo wie, że w tym miejscu postawi nową. Ale choć z pewną niecierpliwością – stawiał swoje obiekty solidnie, sprawdzając przedtem rodzaj gruntu a nawet kierunki wiatrów znad Bosforu. Dlatego wszystkie stoją, zaś wspaniały, majestatyczny i po prostu piękny meczet Sulejmana budzi wciąż taki sam podziw, jak w chwili jego powstania. Zanurzymy się zatem w tę wielowarstwową, precyzyjnie skonstruowaną opowieść o ludziach, niezwykłym mieście, o przyjaźni, a także niemożliwej miłości.

Dana Jurszewicz



GENIUSZ OLDFIELDA

Nikt wcześniej tak nie grał. W 1973 roku 19-letni Mike Oldfield zaprezentował światu zupełnie nowy sposób kreowania muzyki, bardzo daleki od przyjętych kanonów muzyki pop. Samorodny talent muzyczny Oldfielda musiał spotkać się z innym talentem – Richarda Bransona (założyciela firmy fonograficznej Virgin), aby powstało zjawiskowe dzieło muzyczne, którego sława i uznanie w żaden sposób nie zmalało po 50 latach od swego powstania.

Muzyka pop miała (i ma) swoje prawa i zasady, z których najważniejszą jest traktowanie muzyki jako kolejnego towaru na rynku szeroko pojętych dóbr. Dobra muzyka pop to muzyka dobrze się sprzedająca – identyczne zasady napędzają marketing fast foodu czy rynek branży samochodowej. Wartości artystyczne dla samej estetyki i zachwyty muz schodzą na drugi plan. Trzeba być młodym (koniecznie!) idealistą z płonącym żarem talentu rozpalającym wyobraźnię i kreatywność nie zmaconą szeptem bogini Mamony, by tworzyć dzieła dla ich piękna samego w sobie, a nie potrzeby rynku. Ale istnieje pewne ograniczenie – owszem, można być poetą czy malarzem idealistą i jeść bezkompromisowy suchy chleb (głód uszlachetnia podobno), ale nie można być bezkompromisowym muzykiem, jeśli ambicje artystyczne wykraczają po za przycygnięcie na gitarze sobie a Muzom na „księżycowym podjeździe”. Malarstwo to koszt pędzla, farb i sztalugi do prezentacji ewentualnym nabywcom na „paryskim bruku”. Z kolei poezja to natchnienie, następnie złapanie gęsi w celu pozyskania pióra i prezentacja dzieła na głównym placu gdzieś tam, gdzie wrażliwy tłum (tłumy słyną z wrażliwości) gromkim głosem, tym razem ponad brukiem wzniesie się w ideał (taki odwrotny proces jak z „Fortepianem Szopena”). Ale muzyka pop podlega innym prawom ekonomii – po prostu wydanie płyty to proces industrialny i wymaga w zasadzie fabryki. Czyli to są już koszty wyższe niż sztalugi czy gęś (nawet w całości). I trzeba być wizjonerem takim jak Richard Branson, który w potrafi dostrzec perłę w szarej skorupie małża i zgodzi się na w wydanie płyty nikomu nieznanemu 19-latkowi, bez jakiegokolwiek dorobku, do tego z ewidentnymi problemami w komunikacji socjalnej na granicy autyzmu.

Oldfield stworzył w zasadzie nową formę muzyki pop – suitę. Przeciwiństwo parominutowych piosenek w formie referen-zwrotka i da capo al fine z rytmicznym przytupem stopą. Wielowątkowa muzyka splatanych ze sobą linii melodycznych, które albo się przenikają, albo meandrują bez wyraźnej narracji prowadząc do coraz to nowych wątków. Oldfield nagrywał swoje dzieło, grając sam na większości instrumentów przy użyciu rejestratorów wielościeżkowych. Powstało dzieło stricte instrumentalne i jednym z powodów, dla których kolejne wytwórnie płytowe (do których zwracał się Oldfield) odrzucały jego muzykę, był właśnie brak wokalu. Bezkompromisowy muzyk nie zgodził się na taką komercjalizację swego dzieła. Na tym polega młodość – na braku materialnych zobowiązań i rozbudzonych potrzeb.

Gdy po sukcesie pierwszej płyty Oldfield zakosztował materialnego powodzenia, nie trzeba było go już namawiać na zastosowanie wokalu – z własnej inicjatywy produkował kolejne przebojowe piosenki. Motyw początkowy z „Tubular Bells” został wykorzystany jako ścieżka dźwiękowa w słynnym horrorze „Egzorcysta” i tak zaintrygował publikę, że sięgnęła do oryginalnego dzieła. Płyta wystrzeliła na czołowe miejsca rankingów, udowadniając, że często słuchacze muzyki mają lepiej wyrobiony gust i muzyczne ucho niż wielu managerów firm fonograficznych.

Robert Nawrocki

KRZYŻÓWKA LITERACKA

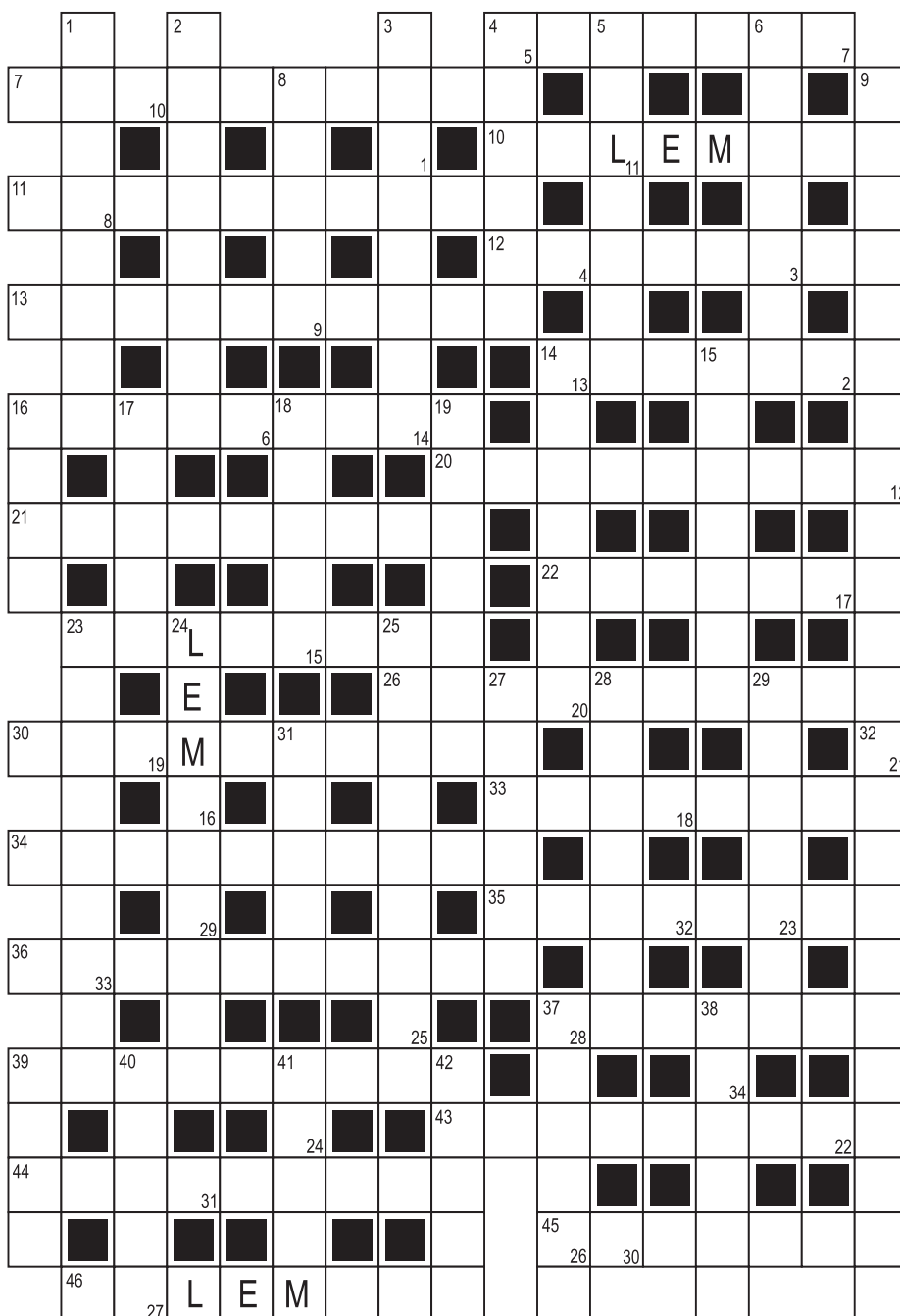
Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu, uporządkowane od 1 do 34, utworzą rozwiązanie – tytuły trzech powieści science fiction. Nazwisko autora tych powieści ujawniono w diagramie w trzech miejscach. Życzymy przyjemnego rozwiązywania!

Poziomo:

- 4) ozdoba z kolorowej wstążki zawiązana na warkoczu lub prezencie
- 7) drobne dodatki do ubioru np. rękawiczki, torebki broszki, paski
- 10) słowny lub pisemny spór między osobami mającymi odmienne zdanie
- 11) duchowny katolicki wypędzający demony z osób opętanych
- 12) to, co ułatwia rozpalenie ognia w piecu lub kuchni (suche szczapki, papier, szyszki itp.)
- 13) postulaty i żądania wyraźnie sformułowane np. przez strajkujących
- 14) stolica Kenii
- 16) każdy dwukadłubowy statek
- 20) umowa przedślubna ustalająca sprawy majątkowe przyszłych małżonków
- 21) popisy cyrkowych arystów na trapezie
- 22) w muzyce: szybkie powtarzanie jednego lub kilku dźwięków na instrumencie; tremolando
- 23) tradycyjna nazwa ogółu adwokatów
- 26) wyposażenie, bagaż; ekwipaż
- 30) aptekarz z tytułem magistra
- 33) ogół wątków w powieści czy filmie albo zagadnień poruszanych na zebraniu, sesji
- 34) imię Ryster, prezenterki telewizyjnej, prowadzącej w l. 1975-2006 teleturniej „Wielka gra”
- 35) były cesarz Japonii, panujący w latach 1901-1989
- 36) piąty co do wielkości kontynent na Ziemi
- 37) *mit. gr.* dzika istota o postaci konia z głową i torsem mężczyzny
- 39) Tenzin Gjaco, duchowy przywódca narodu tybetańskiego; laureat Pokojowej Nagrody Nobla
- 43) sfera niebieska; nieboskłon
- 44) punkty gastronomiczne, w których serwuje się ryby albo frytki prosto z patelni
- 45) supełek
- 46) trudny wybór między dwiema różnymi możliwościami (wpisz w l. mn.).

Pionowo:

- 1) obumarcie tkanek wskutek zakażenia; zgorzel
- 2) kochanka, zwłaszcza króla; metresa
- 3) gruczoł krokowy
- 4) śródziemnomorska przyprawa
- 5) niegroźny wypadek drogowy
- 6) armatka wodna
- 8) przybieranie na wadze
- 9) urządzenie elektryczne do obezwładniania napastnika
- 14) zapiski, uwagi, wzmianki
- 15) ktoś, kto gra lub tworzy muzykę rockową
- 16) skorupiak z rzędu dziesięcionogów, ze szczypcami zamiast pierwszej pary odnóży
- 17) przyrząd do ręcznego rozdrabniania warzyw
- 18) z kapitana na majora
- 19) afront, faux pas
- 23) dawne określenie niani
- 24) kwaskowaty napój z wody, cukru i soku owocowego



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33	34

- 25) potoczna nazwa chorób o podłożu zapalnym, atakujących mięśnie, stawy i kości
- 27) stado wilków
- 28) region Polski z Kaszubami, Krajną, Borami Tucholskimi
- 29) nazwa benzyny silnikowej
- 31) czerwono-brunatny koń
- 32) publiczne przyznanie się do popełnionych błędów

- 37) żona cara dawnej Rosji
- 38) wieś w gminie Będzino (pow. koszaliński)
- 39) przyrząd lekkoatletyczny w ręku Piotra Małachowskiego
- 40) pnącza w dżungli
- 41) ... Polelum (Lel i Polel), bóstwa słowiańskie wg J. Długosza, odpowiednik Kastora i Polluksa
- 42) przekręty gospodarcze na dużą skalę.

AUTORYZOWANY PUNKT KOPIOWANIA KLUCZY

GERDA • LOB • WILKA • ABUS • MUL-T-LOCK

tel. 605 269 475

CZYNNE: 10.00-17.00 SOBOTA: NICZYNNE

KOSZALIN, UL. WŁADYSŁAWA IV 22

(NISKI PARTER W WIEŻOWCU OBOK DAWNEGO SKLEPU „INTERMARCHE”)



- **kodowanie kluczy do samochodów z immobilizyrem**
 - przekładanie transponderów z kluczy wyrobionych lub złamanych – nowe obudowy do pilotów samochodowych
 - programowanie pilotów samochodowych oraz kluczy zbliżeniowych KEY LESS
 - klucze tzw. szczyryki oraz obudowy
- **sprzedaż: baterii do pilotów samochodowych i bramowych, wkładek, klódek i breloczków do kluczy**
- **kopiowanie kluczy standardowych samochodowych oraz specjalnych - grawerowanych**
- **naprawy zamków i stacyjek samochodowych**
- **zgubione ostatnie klucze – odtwarzanie na podstawie zamka lub stacyjki**
- **przerabianie zamków samochodowych pod klucz klienta**
- **kopiowanie kluczy do motorów i ciężarówek**
 - blokad skrzyni biegów
 - alarmów i lasek samochodowych, bagażników dachowych
 - maszyn budowlanych, wózków widłowych, łodzi itp.
- **klucze do skrzynek listowych oraz do skrzynek elektrycznych i alarmowych**
- **kopiowanie kluczy mieszkaniowych standardowych oraz specjalnych nawiercanych także atestowanych: gerda, lob, mcm, abus, kasta, abloy, wilka, evva, mul-t-lock, iseo, dom, vbh, chińskie, winkhaus, burg, bks, axa, kaba, keso**



— PROFESJONALNE OSTRZENIE —

- **nożyczek fryzjerskich** (klasycznych, offsetowych, degażówek), **gromerskich i chirurgicznych**
- **ostrzy do maszynek fryzjerskich i gromerskich**
- **noży kuchennych – profesjonalnych**

Tu znajdziesz **MIASTOPLUS**

Kawiarnie

- Park Caffè, ul. Asnyka 11
- Świat Lodów, ul. Zwycięstwa 43
- Kaliszczak, ul. Zwycięstwa 26a
- Kaliszczak, ul. Zwycięstwa 152
- So! Coffee, ul. Paderewskiego 1
- Kawiarnia Sowa, ul. 1 Maja 9a
- Koci Miętka, ul. Zwycięstwa 46

Restauracje

- Maredo, ul. Zwycięstwa 45
- Viva Italia, ul. Skłodowskiej-Curie 1-3
- Kukuryku, pl. Gwiazdzysty 5
- Piwnica pod Gryfami, ul. Piłsudskiego 28
- Projekt Kuchnia, ul. Piłsudskiego 6
- Studnia, ul. Mickiewicza 6
- Restauracja Fregata, ul. Podgrodzie 1a
- Bistro Loft7, ul. Jana z Kolna 7

Handel i usługi

- Telewizja Kablowa Koszalin, ul. Kotarbińskiego 3
- Biuro Podróży Turysta, ul. Andersa 2
- Galeria Emka, ul. Jana Pawła II 20
- Hotel Gromada, ul. Zwycięstwa 20
- Ilecki Nieruchomości, ul. 1 Maja 20/5

Zdrowie i uroda

- Panaceum, ul. Krzyżanowskiego 1
- Dermalogica, ul. Zwycięstwa 40
- Eliza Instytut Piękna, ul. Sikorskiego 4c
- Poliklinika Koszalin, ul. Szpitalna 2
- Szpital Wojewódzki, ul. Chałubińskiego 7
- Amadeus, ul. Modrzejewskiej 40
- Gabinet Bogurscy, ul. Boczna 11/5

Kultura

- Centrum Kultury 105, ul. Zwycięstwa 105
- Teatr Variete Muza, ul. Morska 9
- Koszalińska Biblioteka Publiczna, pl. Polonii 1
- Bałtycki Teatr Dramatyczny, pl. Teatralny 1
- Filharmonia Koszalińska, ul. Piastowska 2
- Centrum Rozrywki „Na Pięterku”, ul. Jana Pawła II 15a
- Galeria „Na Piętrze”, ul. Dworcowa 2

Biznes

- Centrum Biznesu, ul. Zwycięstwa 42
- Koszalińska Izba Przemysłowo-Handlowa, ul. Zwycięstwa 126

Inne

- Regionalne Centrum Informacji Turystycznej, ul. Dworcowa 11-15
- KSM „Przylesie”, ul. Fałata 13
- KSM „Na Skarpie”, ul. Na Skarpie 17



Twój dom twój styl

- bramy
- drzwi
- okna
- podłogi
- rolety



www.domstyl.koszalin.pl

NAJWIĘKSZA EKSPOZYCJA
W KOSZALINIE



ul. Morska 4a, 75-281 Koszalin